

odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny

Kódz



NR 28 (1074) ROK XXI

9 LIPCA 1978 R.

CENA 3 ZŁ



Foto: W. Parys

CAŁE ŻYCIE na BOISKU

BOGDA MADEJ
LUCJUSZ WŁODKOWSKI

— Pytają mnie, czym jest dla mnie sport? Nie umiem odpowiedzieć. Kiedy czasem wspominam przeszłość, to wydaje mi się że sport jest nierozdzielny z moim życiem, że od najdawniejszych lat, kiedy tylko sięgam pamięcią, związany byłem ze sportem. Jest w tym wiele przesady. Z dzieciennych lat na ogół pamięta się niewiele. Jakich fragmenty i to, oczywiście, co później opowiadają starsi, a co z czasem bierze się za własne wspomnienia.

A jednak jest w tym jakaś prawda. W moim życiu sport wiąże się z najdawniejszymi wspomnieniami. Kozacy wrzucili mnie kiedyś do stawu nie utonąłem i nauczyłem się pływać. Kiedy byłem malutkim chłopcem, ojciec kupił mi łyżwy. Pamiętam, że matka krzychała:

— Coś ty zrobił? Po co to kupiłeś?! On nogi sobie połamał!

Nie, połamałem. Zostałem hokeistą. Z prawdziwym sportem zetknąłem się jednak dużo później.

Spokojne lata

Władysław Król urodził się 30 października 1907 roku w Nałęczowie.

Była to już wtedy znana miejscowość. Dziś Nałęczów marzy mu się nieczym krainą szczęśliwości i w chwili szczeroci przyznaje się, że chętnie by tam pojechał.

Pamięć podsuwa sielankowy krajobraz. Parki pełne latem kwiatów i zieleni. Wytworne panie, spacerujące pod kolorowymi parasolkami. Wieczorne zabawy letników w teatr, kiedy można było popatrzeć na aktorów, pomóc im i dostać parę kopiejek na cukierki. Wieczorne śpiewy Kozaków i parkanie koni w stalniach. Zapach znakomitej kaszy z wołowiną, którą Kozacy chętnie częstowali kręcące się przy nich dzieci.

Mały chłopiec nie dostrzegł rodzicielskiego frasunku, nie słyszał wieczornych szepetów toczonych narad, nie rozumiał matczynych łez, kiedy zapadła decyzja, że ojciec za chleba pojedzie do Ameryki. Niewiele by brakowało, aby i Władek oraz młodszy Jan wraz z matką pojechali do tej Ameryki. Do Nałęczowa dotarła jednak wieść o katastrofie „Titanica”, matka przestraszyła się i odesłała ojcu „Szyfkarte”, prosząc, aby wrócił do domu. Ojciec przyjechał do Nałęczowa w maju 1914 roku. W sierpniu wybuchła pierwsza

wojna światowa i zabrano ojca w „soldaty”.

Z wojny wrócił w 1919 roku. Polska była już niepodległa. O pracę nadal nie było łatwo. Ruszył więc do pobliskiego Lublina i jakoś wystraszony tam o pracę. Później zabrał do Lublina całą rodzinę.

W Lublinie zaczął Władysław Król chodzić do szkoły. To była dobra szkoła. Uczyli tam fachu, ale i o wychowaniu fizycznym nie zapominali.

Obiecujący młodzieniec

To się tak ładnie dziś mówi: — wychowanie fizyczne. Była to po prostu gimnastyka. A Władka ciągnęło zupełnie do czego innego. W nałęczowskim parku wytwornie ubrani panowie i panie grali w tenisa. Biegał na korty podawać piłki. Czasem kiedy nikogo nie było na kortach, można było wyprosić raketkę i podbić piłkę.

Dalszy ciąg na str. 6

„PRZEWYCIĘŻAĆ ZASTOINY MYŚLOWE...”

Rozmowa z prof. dr Zdzisławem Skwarczyńskim

Prof. dr Zdzisław Skwarczyński (ur. 15. II. 1914 r. w Łodzi), w latach 1937-39 pracownik naukowy Uniwersytetu Warszawskiego, od 1945 — Uniwersytetu Łódzkiego. W latach 1947-49 członek zespołu redakcyjnego „Wsi”. Od 1954 r. profesor UL. W latach 1952-53 prodziekan, 1953-54 dziekan Wydziału Filologicznego, 1964-69 prorektor, 1969-72 rektor UL. Od 1970 r. do chwili obecnej dyrektor Instytutu Filologii Polskiej UL. Redaktor naczelny „Prac Polonistycznych”. Autor książek: „Chłop i sprawa chłopska w romansie stanisławowskim” (1950), „W szkole sentymentalizmu” (1958), „Kazimierz Kontrim. Towarzystwo Szubrawców (Dwa studia)” (1961), „Stanisław Dygat” (1976); antologii „Bajka polska wieku Oświecenia” (1951) i „Wiadomości Brukowe” (Wybór artykułów) (1962); naukowych edycji „Mikołaja Doświadczyńskiego przypadków” I. Krasickiego (1951), „Wyboru pism” F. S. Jezierskiego (1952) i „Powrotu posła” J. U. Niemcewicza (1970); licznych artykułów, m. in. o Jezierskim, Niemcewiczu, Bałuckim, Reymoncie, o literaturze ludowej i badaniach nad kulturą literacką; wydawca listów Jana Koźmiana, Antoniego Edwarda Odyńca, Bolesława Prusa, Henryka Sienkiewicza, Kazimierza Przerwy-Tetmajera, Władysława Stanisława Reymonta, Jerzego Żuławskiego, Oktawii i Stefana Żeromskich.

— Jak ocenia Pan, Panie Profesorze, dorobek powojenny i sytuację nauki o literaturze? Czy ten kierunek badań legitymuje się zadowalającymi osiągnięciami?

— Wyróżniamy dwa jakby typy zadań stojących przed historiami literatury. Jeden dotyczy możliwie najdokładniejszej, najstaranniejszej inwentaryzacji tego, co o literaturze wiedzieć należy. Wiąże się z tym zadaniem edytorskie, a więc przygotowywanie wydań krytycznych najważniejszych dzieł. Drugi typ zadań dotyczy interpretacji. Otóż u nas po wojnie początkowo dominowały interpretacje, co było zrozumiałe ze względu na zmianę kryteriów w ocenie dorobku literackiego przeszłości. Interpretacje uwzględniające nowy punkt widzenia miały jednak charakter prowizoryczny, próbny. Na tym tle pojawiały się monografie postulatywne, które stawiały zadania przed literaturoznawstwem, ale same tych zadań spełnić nie były w stanie. Przykładem może tu być monografia Mickiewicza pióra Stefana Żółkiewskiego. Potem powinien był nastąpić czas pewnej równowagi między zadaniami inwentaryzacyjnymi

i interpretacyjnymi. Istotnie dzięki powstaniu Instytutu Badań Literackich i jego wyspecjalizowanych pracownikom ruszyło się w literaturoznawstwie. Należy pozytywnie ocenić większość kompendialnych opracowań w rodzaju „Nowego Korbuta” czy „Słownika współczesnych pisarzy”. To był owoc rzetelnej pracy wielu ludzi. W tej dziedzinie postęp w stosunku do XX-lecia międzywojennego jest wielki. Natomiast w zakresie interpretacji nasze literaturoznawstwo, niestety, nie ma czym się na zewnątrz pochwalić.

— Oznacza to, że nie mamy osiągnięć interpretacyjnych, które zapewniłyby nam uznanie międzynarodowe?

— Właśnie. Obserwujemy u nas raczej powiewy mody. Raz będzie to zachlustywanie się strukturalizmem, kiedyś indziej semiotyką czy hermeneutyką, powoływanie się na Bachtina, Whiteheada, Barthes'a. Wszy-

Dalszy ciąg na str. 3

NAUKA W KOSMOSIE

2 lipca 1978 roku — a była to niedziela — w samo południe czasu moskiewskiego „Salut — 6” okrążył Ziemię 4.361 razy. „Sojuz — 29” od momentu wystąpienia z kosmodromu Bajkonur wykonał 262 okrążenia, a „Sojuz — 30” — 76 krążeń.

W poniedziałek, 3 lipca 1978 roku, stacja kosmiczna „Salut — 6” o godzinie 11 czasu moskiewskiego wykonała o 16 okrążeń więcej. Załoga „Sojuza — 30” była szóstą dołączyć do stacji orbitalnej. Natomiast załoga „Sojuza — 29” — 18 dobie. Kosmonauci Władimir Kowalonok i Aleksander Iwanczenko przygotowali „Sojuz — 30” do powrotu na Ziemię, a kosmonauci Piotr Klimuk i Mirosław Hermaszewski kontynuowali rozpoczęte wcześniej badania.

Start „Sojuza — 30” na pokładzie którego znalazł się polski kosmonauta, wywołał radość i dumę. Jak by nie było, Polska jest — czwartym państwem, które wpisało się na listę członków klubu kosmicznego. Do tej pory w Kosmos latały wyłącznie obywatele ZSRR i USA. Na początku 1978 roku dołączył do nich obywatel CSRS — Władimir Remek. Teraz — nasz rodak — Mirosław Hermaszewski.

Związek Radziecki realizując swój bogaty program badań Kosmosu włączył do jego realizacji ośrodki naukowe państw socjalistycznych. Realizacji tego celu służy program „Interkosmos”. Właśnie w ramach tego programu do stacji orbitalnej „Salut — 6” cumują stacje kosmiczne z międzynarodową załogą na pokładzie. W Gwieźdny Miasteczku obok obywateli CSRS i PRL szkolili się też kosmonauci innych państw socjalistycznych. Teraz należy się spodziewać, że w niedługim czasie wystartuje w Kosmos kolejny statek kosmiczny na pokładzie którego obok kosmonauty radzieckiego będzie kosmonauta NRD. A po nim poleca w Kosmos inni.

Cieszymy się oczywiście z tego, że Polska jest czwartym państwem, które zapisało się do klubu kosmicznego, ale radość nasza powinna wynikać

nie tylko z faktu, że Polak znalazł się w Kosmosie. Bardziej istotny jest fakt, udział polskiego kosmonauty w programie badań kosmicznych. Uczestniczy w tych badaniach w ramach realizacji programu „Interkosmos”, ale z okazji lotu polskiego kosmonauty znacznie rozszerzył się udział polskiej nauki w badaniach kosmicznych.

Warto zwrócić uwagę na fakt, że Związek Radziecki, wychodząc z międzynarodowych przesłanek, rozszerza krag uczonych, których proponuje badawcze, doświadczenie, dorobek naukowy, a także potencjał naukowy, jaki reprezentują kraje socjalistyczne, pozwala przyspieszać i czynić bardziej skuteczne badania w trudnym dziele poznawania Kosmosu. Związek Radziecki dysponuje ogromną techniką satelitarną, która nadal intensywnie rozwija. To właśnie wielki potencjał techniczny ZSRR pozwolił na to, aby do „Saluta — 6” cumowały stacje kosmiczne z międzynarodowymi załogami na pokładzie. Dzięki tym możliwościom technicznym i naukowym Związku Radzieckiego, również i naukowcy z krajów socjalistycznych mogli włączyć się do bogatego programu badań naukowych nad Kosmosem.

Warto przywrócić się choć w telegraficznym skrócie niektórym z badań, jakie zaprogramowano

dla kolejnych załóg „Saluta — 6”. Obecna zmiana na stacji orbitalnej „Salut — 6” realizuje bowiem programy przygotowane przez międzynarodowe zespoły uczonych, a w tym także uczonych polskich. I tak Polska przygotowała programy badań:

— SYRENA — wzrost kryształu półprzewodnikowego zbudowanego z rtęci, kadmu i telluru. Proces krystalizacji dokonuje się w radzieckim urządzeniu „Splaw — 01”.

— SMAK — badania zmian smaku odczuwane w warunkach nieważkości.

— RELAKS — badania skuteczności programu relaksu i rozrywki w czasie lotu kosmicznego.

— KARDIOLIDER — badania pracy serca przy wysiłku podczas lotu kosmicznego.

— ZDROWIE — badanie zdrowia kosmonauty podczas lotu i po lądowaniu, ocena wydolności jego organizmu w czasie całej pracy kosmicznej oraz po jej zakończeniu a więc w okresie adaptacji do warunków ziemskich.

Co jest najistotniejszego w tych programach. Po pierwsze to, że wielu polskich uczonych włączyło się do badań Kosmosu, a więc rozszerza się nasz udział w realizacji programu „Interkosmos”. Na przykład program SYRENA koordynowany jest przez Instytut Fizyki PAN przy współpracy z Instytutem Badań Kosmicznych Akademii Nauk ZSRR. Pozostałe programy koordynowane są przez Wojskowy Instytut Medyczny Lotniczej. Dla realizacji programu KARDIOLIDER w Wojskowym Instytucie Medycznym Lotniczej konstruowano aparat nazywany też „kardioliderem”, który służy do kontroli pracy serca i znajduje niewątpliwie zastosowanie na Ziemi w medycynie lotniczej i sportowej. Również do realizacji programu SMAK zastosowano urządzenie polskiej konstrukcji.

Po drugie — dzięki współpracy z uczonymi radzieckimi możliwe stało się przeprowadzenie pięcioletniego eksperymentalnego procesu krystalizacji półprzewodników trójskładowych w warunkach nieważkości. Badania nad półprzewodnikami trójskładowymi są specjalnością Instytutu Fizyki PAN. Wyniki realizacji programu SYRENA posłużą do dalszego rozwoju kosmicznych technologii. Warto tu pamiętać, że do stacji orbitalnej „Salut — 6”

można cumować transportowce „Progress”, co stwarza możliwość dalszego rozwijania badań technologicznych w warunkach nieważkości. Mają te badania ogromne znaczenie dla dalszego postępu w nauce i technice. Otrzymywane w stanie nieważkości półprzewodniki i inne materiały mogą posiadać bowiem zupełnie nieoczekiwane cechy, jakich nie udałoby się nigdy uzyskać na Ziemi. Docent Robert R. Galazka z Instytutu Fizyki PAN powiedział w wywiadzie telewizyjnym, że na 15 przeprowadzonych w stanie nieważkości doświadczeń technologicznych otrzymane rezultaty, jakich nie spodziewano się w teoretycznych założeniach. Przywieziony z Kosmosu trójskładowy półprzewodnik będzie badany przez uczonych polskich i radzieckich. Oczekują oni z niecierpliwością na powrót „Sojuza — 30”, którego załoga przywiezie otrzymane w Kosmosie półprzewodniki.

Po trzecie — obecna załoga „Saluta — 6”, w której pracuje mjr Mirosław Hermaszewski, realizuje zapoczątkowane poprzednio badania, a ich następcy, którzy niewątpliwie przybędą do „Saluta — 6” w niedalekiej przyszłości, będą kontynuowali badania zapoczątkowane obecnie. W ten sposób tworzy się ciągłość pracy badawczej w Kosmosie, programowanej przez międzynarodowe gremium uczonych.

Lot kosmiczny zespołu „Sojuz — 29” — „Salut — 6” — „Sojuz — 30” zwrócił naszą uwagę na sprawy dziejące się ponad 900 km od powierzchni Ziemi, a przecież mają one ogromne znaczenie dla ludzi na tej Ziemi mieszkających. Stanowią one kolejne ogniw w łańcuchu poznania Kosmosu, ogniw dla nas tym istotniejsze, że włączające do tego poznawania polską naukę, w sposób, jaki do tej pory nie miał miejsca.

Zbliża się już dzień powrotu mjr Mirosława Hermaszewskiego na Ziemię. Zakończy on swą kosmiczną misję. Ale udział polskiej nauki w badaniach kosmicznych będzie się nieustannie zwiększał.

LUCJUSZ
WŁODKOWSKI

DLA NASZEGO DOBRA

W poniedziałek 3 lipca br., pod przewodnictwem I sekretarza KC PZPR — Edwarda Gierka, odbyła się w Warszawie krajowa narada przedstawicieli samorządu robotniczego.

Uczestnicy narady skierowali apel do Konferencji Samorządu Robotniczego, do organizacji partyjnych, związkowych i młodzieżowych oraz do wszystkich ludzi pracy, w którym czytamy m.in.:

„My, uczestnicy krajowej narady przedstawicieli samorządu robotniczego zwracamy się do działaczy samorządu robotniczego, do członków partii i bezpartyjnych, do młodego pokolenia, do klasy robotniczej, robotników i inteligencji, do wszystkich ludzi pracy w Polsce z apelem o pełne wykonanie zadań nakreślonych w referacie I sekretarza KC PZPR tow. Edwarda Gierka wynikających ze strategii społeczno-ekonomicznego rozwoju kraju, wytyczonej przez VI i VII Zjazd PZPR. Uczynmy wszystko, by wszędzie zapewnić wysoki poziom pracy i najlepsze jej rezultaty, dla dobra narodu i socjalistycznej ojczyzny.

Samorządność robotnicza, której jesteśmy przedstawicielami, pojmujemy jako współdecydowanie i współodpowiedzialność za rozwój i rezultaty osiągnięte w każdym zakładzie. Uczynmy wszystko, aby jak najlepiej owocowała zbiorowa mądrość i ofiarność ludzi pracy, by wspólny wysiłek narodu przyniósł Polsce i Polakom jak największy pożytek. Potencjał gospodarczy wydanie rozwinięty w latach siedemdziesiątych tworzy mocne podstawy dla dalszego, wszechstronnego rozwoju Polski. Jego pełne wykorzystanie zależy od twórczej inicjatywy, energii i zaangażowania całych załóg. Aby w trudniejszych obecnie warunkach produkować coraz więcej towarów i usług, lepiej zaspokajać stale rosnące potrzeby naszego społeczeństwa”.

W ubiegłym tygodniu gościła w naszym mieście, zaproszona przez Wydawnictwo Łódzkie, wybitna poetka białoruska Danuta Biczal-Zagnietawa, której wiersze prezentowaliśmy niedawno na łamach „Odgłosów”. Poetka złożyła swą pierwszą w Polsce wizytę w związku z przygotowaniem do druku tomu przekładów swoich utworów zaplanowanego do publikacji przez WL w 1979 roku.

WIZYTA PRZYJAŹNI

Na Tomik Pani wierszy, których wyboru dokonał Maciej Józef Kononowicz, złożyły się utwory publikowane na Białorusi w kilku zbiorach. Czy zechciałaby Pani zaprezentować Czytelnikom „Odgłosów” swój dotychczasowy dorobek twórczy?

— Dotychczas ukazało się 5 tomików moich wierszy w języku białoruskim: w 1961 r. pierwszy z nich — „Dziewczęce serca”, w 1964 — „Niemen idzie”, w 1967 — „Zapalanki”, „Dola” w 1972 i „Ty to ty” w 1976 r. W 1969 ukazały się moje wiersze wybrane przełożone na język rosyjski, w tomiku „Biała Ruś”. Uprawiam także twórczość przeznaczoną dla dzieci. Zdaję sobie sprawę z tego, jak dzieciom potrzebna jest książka, szczególnie poetycka, która kształtuje ich wyobraźnię i wyrabia poczucie piękna. Na moją decyzję wpłynął zarówno fakt, że mam własne dzieci, jak i to, że jestem z zawodu nauczycielką i ucząc w szkole mam codzienny kontakt z dziećmi. Napisałam i opublikowałam dotąd 5 książeczek dla dzieci: „Przeziórka”, „Grzyb-parasol”, „Grusza polna” (książka autobiograficzna poświęcona moim własnym dzieciom) oraz „Dogoń na koniku” i „Ruda polanka”.

— A co otrzymają czytelnicy białoruscy w najbliższym czasie?

— W 1979 roku, chyba równocześnie z książką opublikowaną przez Wydawnictwo w Łodzi, na Białorusi ukaże się wybór moich wierszy pt. „Bratki”. Na razie drukuję pojedyncze utwory na łamach pisma literackiego „Maladoc”.

— Czy uprawianie poezji wpływa również na dobór lektur pod tym kątem?

— Czytam głównie poezję, oczywiście przede wszystkim białoruską: klasykę, która jest u nas bardzo młoda, utwory Janki Kupaly, Jakuba Kolasa, Maksima Tanki, Bahdanowicza, jak i młodszych i mniej znanych — Władzimira Żytki i Władzimira Hadyki. Z najmłodszego pokolenia najbardziej cenię sobie utwory mojego kolegi, również nauczyciela w wiejskiej szkole, Mariana Duksy, a także nowoczesnego w formie, piszącego krótkie poematy — Alesia Razanau.

— To zupełnie młodzi poeci. Ciekawi jesteśmy jednak sądu Pani o twórcy, którego nazwisko i w Polsce zaczyna być głośnie, chodzi mi o Ryhora Baradulina?

— Z Baradulinem łączą mnie związki szczególne. Jest jakby moim mistrzem. To on pomógł mi opanować warsztat poetycki, nauczył zwięzłości, przysporzył mi wartości słowa. Jego twórczość jest oryginalna i niepowtarzalna, wiersz trudny do przełożenia na inne języki, ze względu na szczególnie gęste stosowanie rymów, a także słów dźwiękonaśladowczych, które działają jednakowo na wyobraźnię i słuch. Spodziewam się jednak, że Wydawnictwo Łódzkie zainteresuje się jego twórczością, szczególnie, że ma do dyspozycji wybitnych tłumaczy z białoruskiego, do których zaliczam Macieja Kononowicza, Tadeusza Chrościelewskiego, Jana Huszcę, Igora Sikiryckiego.

— Nie mniej interesująca jest twórczość oryginalna wymienionych przez Panią poetów.

— Znam ją w całości i cenię sobie, jak i wiersze innych polskich poetów. Szczególnie bliska jest mi twórczość Wisławy Szymborskiej, Tadeusza Różewicza, Tadeusza Nowaka, Zbigniewa Harasymowicza, Bohdana Ostromeckiego. Lubię proste i szczerze wiersze Kazimierzy Illakowiczówny. Oczywiście jest, że najbardziej ulubioną przeze mnie lekturą w języku polskim jest poezja Adama Mickiewicza. Czytając jego strofy, wydaje mi się, że napisane są po białorusku. A kaplicę z „Dziadów” wyobrażam sobie dokładnie taką, jaka znajduje się w mojej rodzinnej wsi Biskupce...

— W czasie pobytu w Polsce zobaczyła Pani naszą stolicę pierwszy raz w życiu?

— To piękne miasto, nowoczesna metropolia pełna jednak starych zabytków. Stare Miasto pozwala cofnąć się wiele lat wstecz. Nie zdążyłam jeszcze dokładnie zwiedzić Łodzi, ale wasze miasto zrobiło na mnie korzystne wrażenie, szczególnie niezwykle serdeczni ludzie, z którymi tu się zetknęłam. Wzruszyło mnie i zaskoczyło to, że tyłu mężczyźni chodzi po ulicach z bukietami kwiatów...

— Tak, kobiety w Polsce często dostają kwiaty od bliskich sobie mężczyzn...

— To bardzo miły zwyczaj. Poznałam zresztą wielu Polaków — poetów na Białorusi, w czasie trwania Dni Literatury Polskiej, m.in. także łódzian, z którymi utrzymuję serdeczne kontakty. Wzajemne, częste odwiedziny pisarzy to prawdziwa droga do przyjaźni między narodami...

ROZMAWIAŁA: KAZIMIERA ISKRZYŃSKA

PO PROSTU JEDEN Z NAS

Z KAMIŁĄ HERMASZEWSKĄ — matką polskiego kosmonauty — rozmawia Marek Regel

Godziny dzieliły pierwszego polskiego kosmonautę — majora MIROSLAWA HERMASZEWSKIEGO — od startu na pokładzie „Sojuza 30”, kiedy odwiedziłem jego matkę, Kamiłę.

— Choć wiem, że wszystko jest już zapieczętowane, a ostatni guzik, wiem także, że Mirek — mój syn, jest do startu starannie od dwóch lat przygotowywany, to przecież zawsze istnieje pewne ryzyko, ono każe mi się niepokoić. Trudno dwie sprawy ze sobą porównywać, ale dodatkowo podenerwowana też jestem w ostatnich dniach, bo jeden z jedenastu moich wnuków zdaje na studia. Wybrał się na architekturę, a tam niełatwo się przecież dostać.

— Podobnie jak z kosmonautami. Kandydatów było ponad kilkudziesięciu, poeci zaś jeden. Jest nim pan syn. Co czuła pani, kiedy się pani o tej decyzji dowiedziała?

— Uplynęło już wiele miesięcy od momentu, kiedy pierwszy raz usłyszałam o tym. Czas zatarł dokładną pamięć pierwszej reakcji. Pamiętam jednak, że się bardzo zdenerwowałam i natychmiast zaprzagnęłam rozmawiać z synem. Podobnie jak zachowywały się każda matka — bałam się o niego. Nachodziły mnie różne rodzaje wątpliwości. Muszę się przyznać, że mu nawet odradzałam ten lot, ale wiedziałam, że mu tego nie wyperswadowuję. Teraz jestem już jakos oswojona z tą myślą.

— A inni członkowie rodziny, jak reagowali?

— Podobnie jak ja. Tylko mój najstarszy syn Władysław, który jest generałem-pilotem, powiedział: „Mirka, mamo, spotkało wielkie wyróżnienie. Powinnaś się cieszyć, a nie

martwić. I zażartował: Teraz nie będą już mówić: „major Mirosław Hermaszewski, brat tego generała”, tylko „generał — brat tego Hermaszewskiego — kosmonauty”.

— Przez okres dwuletni przygotowań syna do lotu na pokładzie „Sojuza 30” zapewne utrzymywała pani z nim bliski kontakt?

— Pisaliśmy do siebie listy. Byłam też u niego przez miesiąc w Gwieźdny Miasteczku pod Moskwą, gdzie mieszkał z żoną Emilią, dwunastoletnim synem Mirosławem i trzyletnią córeczką Emilią. Muszę dodać, że to bardzo udane małżeństwo i bardzo kochająca się, związana ze sobą rodzina. Pan zauważył, że dzieci noszą imiona rodziców? No więc pojechałam do nich, bo jak w każdym domu babcia zawsze się do czego przyda. Uszyłam w tym czasie synowej sukienkę, pomagałam trochę przy dzieciach, nie stroniłam, oczywiście, od kuchni.

Na kilkanaście dni przed startem syn zadzwonił do mnie, aby mi powiedzieć, że już nadszedł czas jego startu w Kosmos. Rozmawialiśmy wtedy ze sobą tylko trzy minuty... Czy pan by wiedział, co przez takie, prawie najważniejsze trzy minuty w życiu, można z siebie wydobyć? Na pewno jednak wiele się czuje.

— Wspominała pani, że syn jest ambitny. Co jeszcze może pani o nim powiedzieć?

— Ostatnio, ze zrozumiałych względów, bardzo często ludzie pytają mnie o syna, jaki jest. Muszę powiedzieć, że jak się tak dobrze zastanowić, dostrzegam do wniosku, że jest zwykłym, współczesnym młodym Polakiem, któremu dzięki ogromnej pracowitości i pasji

losy ułożyły się tak, a nie inaczej. Rósł, dojrzewał i meżniał tak jak inni jego rówieśnicy, wraz z krajem, z ojczyzną. Świadomość ojczyzny, to bardzo ważna rzecz w wychowaniu, którą starałam mu się cały czas wpaść. Robiałam to wobec moich wszystkich dzieci szczególnie gorliwie, musiałam to robić za ojca, którego im przecież zabrakło.

Dbalam, żeby moje dzieci dobrze się uczyły, nie „huligańczyły”. Zawsze o ósmej wieczorem musiały być wszystkie w domu. Mam ich siedmioro: trzech synów, którzy służą w wojsku i cztery córki. Dwie są nauczycielkami, jedna — urzędniczką i jedną laborantką. Jestem dumna z tego, że wszystkie moje dzieci mają co najmniej maturę, a niektóre także wyższe studia. Mój mąż mówił, że siedmioro dzieci to w sam raz. Nie było jednak łatwo samotnej kobiecie wychować taką gromadkę. Męża zastrzelili faszyci podczas II wojny światowej. Miał 43 lata. Dziś, z perspektywy czasu wiem, że drzewo tego nie wytrzyma, co potrafi wytrzymać człowiek. Zresztą podobne przeżycia wojenne miałam nie tylko ja, ale tysiące rodzin polskich.

— Pozwoli pani, że pani wypowiedź uzupełnię opinią, którą wydał majorowi Hermaszewskiemu gen. brygady — pilot Tadeusz Gębicki: „Oficer bardzo energiczny, wyjątkowo utalentowany i zdolny, posiadający duże perspektywy rozwoju w siłach zbrojnych. Lata na samolotach nadźwiękowych wykazując mistrzowskie opanowanie techniki... Wymagający w stosunku do siebie i podwładnych. Decyzje podejmuje prze-myślane i trafne”.

— Ale mam jeszcze pytanie: — Jak się pani czuje w roli matki kosmonauty, człowieka, który ma już zagwarantowane miejsce w historii naszego narodu?

— Aby na to pytanie odpowiedzieć, potrzeba co najmniej kilku miesięcy. Dziś nie umiem

panu tego opisać. To za trudne. Bardziej niż o historii muszę myśleć o dniu dzisiejszym. O tym locie i o egzaminach wnuka. Tak się sprawy kosmiczne i ziemskie przeplatają, takie są ważne, że chyba później będę mogła pomyśleć o historii...

— Może powie nam pani kilka słów o sobie?

— Nie mam wiele do powiedzenia. Lubię swój zawód, lubię cyferki, lubię liczyć. Jestem inwentaryzatorką. Nie od razu nią jednak zostałam. Najpierw pracowałam w sklepie, potem w gastronomii i wreszcie w biurze, w inwentaryzacji. Było to w Wołowie, gdzie dotąd mieszkam z córką, zięciem i ich dzieckiem w dwupokojowym mieszkaniu.

— Czy latała pani kiedyś samolotem?

— Tak, z moim najstarszym synem Władysławem. Sam prowadził samolot. Pamiętam, że trochę się bałam. Trzymałam go nawet za rękę, a on każeł mi się uspokoić i podziwiać piękne widoki. A przedtem, kiedy jechaliśmy na lotnisko, prosił mnie, żebym mu wstąpiła nie zrobiła. Będą tam czekać oficerowie — powiedział — i ja, matka dwóch lotników, nie powinnam pokazywać, że się nie najlepiej czuję w samolocie.

— Jest już pani na rencie. Czemu się więc pani teraz poświęca w wolnych chwilach?

— Rzeczywiście, od 13 lat jestem na rencie, ale często biegam jeszcze do pracy. Jak mnie poproszą, to chętnie idę na każdą inwentaryzację. Przecież na emeryturze, jeśli człowiek nie jest czymś zajęty, bardzo pochłonęty, o wiele szybciej się starzeje. Ja lubię pracę i lubię przebywać wśród ludzi. Jeśli ludzie są zyczliwi, bo takich nie brakuje, to mogą człowiekowi użyć w jego kłopotach i smutkach. Poczucie życzliwości otoczenia może w najtrudniejszej chwili bardzo pomóc. Sama się już o tym przekonałam.

odgłosy

Redaguje kolegium: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), WŁODZIMIERZ STOKOWSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI (zastępcy redaktora naczelnego), JERZY WILMAŃSKI (sekretarz redakcji) oraz zespół: RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREDLICH, EUGENIUSZ IWANICKI, WIESŁAW JAZDZYŃSKI, BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RYMWOWSKI, TOMASZ SOLDENHOFF, GRAZYNA SZYPOWSKA (redakto techniczny) Stałe współpracują: JAN BABIŃSKI, ANDRZEJ BLAJER, TADEUSZ CHROŚCIELEWSKI, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, ANDRZEJ MAJER, EWA NURCZYŃSKA, WŁADYSŁAW ORŁOWSKI, JERZY PANASEWICZ, EWA PANKIEWICZ, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPANSKI, JANUSZ SZYMANSKI-GLANC, JERZY URSANIEWICZ.

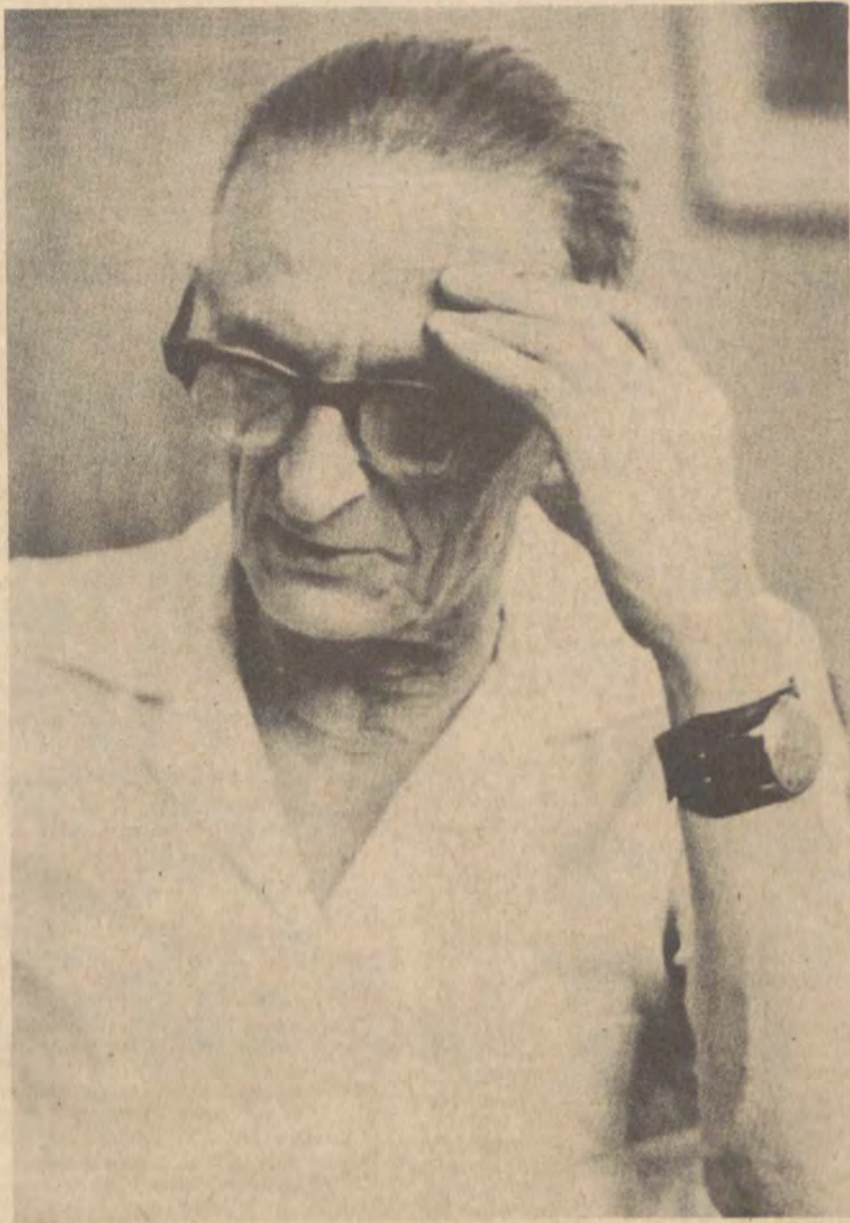


Foto: W. Parus

„PRZEZWYCIEŻAĆ ZASTOINY MYŚLOWE...”

Dalszy ciąg ze str. 1

stko to w naszym polskim wydaniu jest wtórne, a w dodatku szkolarskie. Na Zachodzie reprezentanci nowego krytycyzmu piszą swoje prace językiem komunikatywnym, nie przesadnie rygorystycznym. Wiedzą bowiem, że przez zbyt rygorystyczne siatki przecieka właściwe wszystko. U nas tworzy się natomiast ciężkie zakalce, ponieważ dla nas ważniejsza jest niejednokrotnie definicja, sformułowanie niż dociekanie do istoty rzeczy, albo pobudzenie do myślenia czytelnika.

— Innymi słowy wypowiada się Pan za tym, by na tematy literackie pisać w sposób zgrabny, inspirujący. Opatuje za tym również, by książki o literaturze — niezależnie od swej naukowości — świeciły także własnym immanentnym światłem. By były same utworami literackimi, bez żadnego cudzołystwa.

— Oczywiście. To byłoby ideałem. A minimalne żądanie: żeby ich forma była dyskretna, żeby w sposób właściwy zwracała uwagę na temat. Jesteśmy, oczywiście, przeciwnikami dzieł hermetycznych, owych potworków operujących językiem wyższego wtajemniczenia. Lektura ich działa paraliżującą na czytelnika, odbierając mu możliwość kontroli nad tym, co chce się mu powiedzieć. Nie dziwmy się więc, że przeciętny człowiek odłoży taką książkę z przynębnieniem, niesłusznie przypisując sobie winę za niezrozumienie intencji autora.

— Usłyszałem tu z ust Pana Profesora sporo gorzkich uwag pod adresem naszego literaturoznawstwa. Czy oznacza to, że jego całość ocenia Pan tak pesymistycznie?

— Niestety. Można sformułować generalny pogląd, że obserwujemy obecnie uwiad krytyki literackiej. Krytycy znienacki, przeszli na pozycje uniwersyteckie, albo znikają, zniechęcając się. Mam na myśli takich krytyków, którzy reprezentowaliby jakąś osobowość. W chwili obecnej dominuje krytyka pośrednicząca, właściwie informacyjna, zredukowana do recenzji poszczególnych utworów. Nie

ma w tych produktach ani osobowości, ani kryjącego się za dziełem uporządkowanego systemu wartości. Gdy w okresie międzywojennym należałem do grupy młodych krytyków — przewodził nam świetny krytyk Ludwik Fryde — to za pierwsze książki uważaliśmy uprzytomnienie sobie tych systemów krytycznych, które funkcjonowały przed nami, które zaważyły na umysłowości polskiej. Rozszyfrowaliśmy i próbaliśmy rekonstruować systemy krytyczne Brzozowskiego, Irzykowskiego i innych wielkich krytyków. A czy teraz warto, by, biorąc pierwszy przykład z brzegu, rekonstruować system Maciąga? Czy wszystko oceniam pesymistycznie? Nie. Jeżeli się cierpliwie patrzy na zjawiska w kulturze, to nie należy chcieć zaraz wszystkiego. Istnieją sytuacje, które trzeba po prostu przeciekać. Dostrzegam jednak pewne zadatki na osobowość u niektórych młodych krytyków, ograniczających się jeszcze do recenzji. Czytuję takie dobrze rokujące recenzje w „Literaturze”, np. bardzo ciekawa recenzja o Białoszewskim. Interesującą wypowiedź na temat hierarchii gatunków literackich zamieścił „Nowy Wyraz”. Artykuł ten zwraca uwagę na fakt, że przed 1956 rokiem gust, upodobania literackie narzucali na ogół tradycjonalisci, wychowani na pewnych określonych formach literackich. W ostatnim dwudziestolecu dotychczasowe hierarchie gatunków wywróciły się. Wysocki aforizm jako siła burząca skostniałe modele, po nim nastąpił rozkwit felietonu, stanowiącego osobliwość przy tamtych spetryfikowanych upodobaniach genologicznych. Możemy wymienić kilku znakomitych felietonistów, nie zawsze zresztą sprawdzających się w dużym wymiarze. Ale właśnie oni dostarczają obrazu współczesności w większym stopniu od epików. Coś podobnego można zaobserwować w rozwijającej się u nas z trudem literaturze kryminalnej. Artykuł w „Nowym Wyrazie” podkreśla duże jej znaczenie w zakresie obserwacji obyczajowej. Ale i w obrębie tradycyjnych gatunków literackich dokonują się zmiany, powieść czy mikropowieść ewoluuje ku esejowi, robi się wypadki w kierunku subkultur, środowisk marginalnych.

Faktyczna hierarchia literatury, wyrażająca się w jej poczytności, nie odpowiada zupełnie hierarchii podtrzymywanej w środowiskach literackich, czy wśród badaczy literatury. Istnieją więc obok siebie jakby dwa systemy ocen.

— Panie Profesorze, bastionem, który wciąż jeszcze broni bardzo tradycyjnego systemu ocen, odrywając się nierzadko od potrzeb wysuwanych przez życie, jest chyba szkoła średnia. Czy nie grzeszy ona w zakresie nauki o literaturze nadmiernym balastem erudycyjnym, zwłaszcza historycznym? Czy nie dzieje się to kosztem kształtowania postaw wobec współczesnych zjawisk kulturowych?

— Proszę pana, nasz z konieczności trochę nuworiszowski stosunek do tradycji powoduje, że nie wazymy się tknąć naszego Parnasu przeszłości. Stąd płyną konsekwencje w stosunku do programów szkolnych, o których pan wspominał. Toczyła się ostatnio ostra batalia o kształt języka polskiego w przyszłej szkole dziesięcioletniej. Rezultaty jej są wręcz śmieszne. Pierwotnie program ten zakładał opanowanie przez ucznia przede wszystkim sprawności w zakresie pisania i wypowiedzania się. Stopniowo jednak zaczęto drogą zawziętych sporów przywracać cały nadmiar wiadomości z historii literatury, z którego na wstępie zamierzano zrezygnować. Zgodnie z lańskim powiedzeniem: non multum sed multa, należało dbać o to, co się dobrego daje, a nie ile rzekomo się dobrego daje. Przy obecnym stanie wyposażenia szkół programu dziesięcioletki nie da się skutecznie realizować. Nie przygotowane jest do tego merytorycznie nauczycielstwo, brak książek, magnetofonów, projektorów, magnetowidów, kopii filmowych.

— Co należałoby zdaniem Pana Profesora zrobić w tej mierze, by ratować sytuację?

— Jest przede wszystkim trochę czasu, w którym można zgromadzić wszystkie aktywa. Sam program dziesięcioletki nie jest jeszcze ostateczny w swej redakcji. Uwolnić go trzeba od wytargowanego przez różnych specjalistów balastu antykwaryzmu czy historyzmu, zarówno tego, czego młody umysł nie znieśli, jak i tego, czego materialnie nie jesteśmy w tej chwili w stanie szkole zapewnić, choćby to pociągało największymi urokami nowoczesności, bo jest to jeszcze szkoła uboga wyposażona w pomoce naukowe i nie nadrobi się tego natychmiast, jak i że środowiska, w których działa, są równie ubogie. Pierwotne zamierzenie, żeby absolwent dziesięcioletki wyniósł w zakresie języka polskiego przede wszystkim sprawność w mówieniu i pisaniu oraz w odbiorze wartości kultury, wydaje się dostatecznie wielkie. Byle to była sprawność rzeczywista, nie zaś pozorna i z założenia tolerancyjna wobec niedoświadczenia. Nauczyciel zaś go może tego tylko nauczyć, który o szczebel wyżej stoi w tych umiejętnościach, to znaczy umie sprawnie, odpowiednio do potrzeb stawianych przez uczestnictwo w kulturze wypowiedzieć się i wypisać, który może być przewodnikiem czynnego udziału w kulturze — choćby swego środowiska i którego materialnie stać na realizację roli inteligenta, na czasopismo, książkę, teatr, film, turytykę, w życiu codziennym na godność zawodową i nieprzekupność. Żeby mógł być taki, trzeba przeciwdziałać negatywnej selekcji przy wyborze studiów, nadmiernej feminizacji kandydatów do zawodu, a później takiej organizacji studiów, aby pozwalała ona nadrobić braki wyniesione ze środowiska, wyrobić pożądaną naukowość, opanować wszechstronnie sprawność w posługiwaniu się mową i piśmem, dojrzeć umysłowo i wyrobić krytycyzm. To wymaga — jak uczy doświadczenie — pięcioletnich studiów w ośrodku uniwersyteckim, zdecydowanego zmniejszenia udziału przedmiotów niekierunkowych, które obecnie zajmują niemal połowę czasu na kształcenie, i reformy studiów merytorycznych. Obecne w nikłym stopniu przygotowują w zakresie postulowanego sprawności i krytycyzmu. Nie osiągnięte się tego w atmosferze nakładanego na uczelnia obowiązku przepustowości i tolerancji dla bylejakości, czyli zaspokajania najmniejszym kosztem fałszywych aspiracji dąbnomieszczkańskich do posiadania dyplomu. Resztę trzeba zostawić samokształceniu, którego konieczność należy rozniecać w każdej osobowości, uczynić z tego sprawę osobistą, nie ludzi okresowymi paliatywami w rodzaju studiów podyplomowych, uprzytomnić, że z tego nie mogą zwolnić pieluchy i wychowanie dziecka, troska o elementarne warunki bytu w środowisku wiejskim lub dąbnomieszczkańskim zapatrzonym w zgola inne cele. Wracając do sprawy dziesięcioletki: dla zdolnych lub korzystających z udogodnień kulturalnych środowiska będzie to szkoła mniejszych wymagań i słabszego przygotowania do studiów, mogąca jednak rzeczywiście podnieść poziom przeciętnych. Tu otwiera się pole dla dwuletnich szkół kierunkowych, które właściwie zaprogramowane — w tej chwili programu brak — spełnić mogą chlubną rolę francuskich liceów, jeśli stać nas będzie na odpowiednio wyposażenie materialne i

kadre nauczycielską wysokiej klasy intelektualnej.

— Omówił Pan Profesor szeroko problematykę przygotowania przyszłych pedagogów. Mnie przy tej okazji przypomina się sprawa języka, jakim się posługują młodzież. To istna ropiejąca rana. Z drugiej zaś strony, gdy młodzieży zdarza się słyszeć z ust nauczyciela powiedzonka w rodzaju: „nie ciąg”, czy „coś się tak wydekoldowała”. Przecież dla ucznia język, jaki słyszy z ust nauczyciela...

— ...jest normą. Oczywiście, zagadnienie jest szersze. Z językiem polskim, jakiego używamy na co dzień źle się dzieje. Wypowiadali się na ten temat językoznawcy, ci, którzy najczęściej traktują język jako system. Im chodzi głównie o tzw. systemowe właściwości języka. Skłonni są do pewnej tolerancji w stosunku do pewnych tendencji językowych, co tyleż wynika ze zrozumienia konieczności aprobowania rzeczy powszechnych, ile także z pewnej obojętności w stosunku do wszystkiego, co nie jest systemem. W dyskusji na ten temat, którą wszczął zapalczywie na łamach „Polityki” Kazimierz Koźniewski, słuszność jest raczej po jego stronie. Językoznawcy zapatrzeni w systemową rolę języka nie liczą się z tym, że następują niepożądane dewiacje w zakresie ekspresyjności języka. On nam szarżuje, ubożeje, ulega zachwaceniu tworam zrodzonymi w środowiskach biurokratycznych, albo ucieka się do pożyczek z języków obcych. Tolerancja dla wszelkiego rodzaju żargonów jest postawą krótkowzroczną.

— Panie Profesorze, kieruje Pan Instytutem Filologii Polskiej, placówką, która w szerokim zakresie uwzględnia w swych pracach badawczych problemy regionalne, analizuje twórczość pisarzy łódzkich. Czy nie zechełby Pan powiedzieć naszym Czytelnikom na ten temat coś więcej?

— W okresie powojennym łódzcy historycy literatury zajęli się istotnie w sposób wzmocniony przeszłością literacką naszego regionu. Prowadzone są również prace związane z aktualnymi zjawiskami literackimi. Zaczęło się od nieco tradycyjnych tematów, jak np. Łódź w poezji H. Karwacka podjęła pod kierunkiem prof. S. Kawyna pracę habilitacyjną związaną z dziejami Łodzi, publikując wyniki w znanej książce o Witoldzie Wandurkskim. Tematyka łódzka podejmowana była na seminarium prof. J. Dürdurskiego, którego doktorant J. Dunin-Horkawicz poświęcił rozprawę „drugiemu rynkowi księgarskiemu” oraz „piosence z robotniczego miasta”. Prof. A. Kowalska poświęciła bardzo interesującą pracę w Dzienniku. W moim seminarium podjęto prace badawcze nad teatrem łódzkim lat 1918 — 1920 i za dyrekcji M. Wolowskiego, a następnie źródłowe studia do wydanej obecnie monografii o T. Micińskim (J. Tynecki), do dzieł grupy „a.r.” (A. Płusowski), życia i twórczości Z. Bartkiewicza (T. Listek-Gorczyca), Światopelka Karpińskiego (A. Kalinowska), S. Czernika i J. Galaja (V. Krawczyk), S. Gillera (J. Klimczak), W. Reymonta (A. Budreka), J. Tuwima (R. Wierzbowski), A. Krasińskiego (W. Pus), M. Brauna (B. Gołębiowska i T. Fijałkowski), G. Timofiejewa (J. Gos), A. Sokolca (D. Chróścielewska). Opracowano monograficznie czasopisma: „Meteo” (K. Nonas i T. Błażejowski), „Wymiary” (W. Urbanski), „Tygodnik Piotrkowski” (W. Białaczewski). Przygotowano antologię wierszy o Łodzi (B. Świątek i A. Góralska). Wiele studiów poświęcono także współczesnym pisarzom łódzkim — T. Chróścielewskiemu, W. Jazdyńskiemu, W. Rymkiewiczowi (J. Tynecki), L. Gomolickiemu (J. Rzymowski). Niektóre zagadnienia dotyczące łódzkiej literatury opracowali: K. Poklewska, W. Nowakowska i J. Poradecki.

Ostatnio w Muzeum Historii Miasta Łodzi prezentowaliśmy: J. Tynecki: Literatura Łodzi (do odzyskania niepodległości), R. Wierzbowski: Łódzkie realia Kwiatów polskich, B. Gołębiowska: Recepta romantyzmu w Łodzi w latach 1905 — 1907, B. Mazan: Pozytywiści w Łodzi. Przedstawili również swe prace M. Kamińska: Polscyżona najstarszego pokolenia łódzian, J. Mączyński: Nazwiska łódzian od XV do początku XIX w., J. Kluszczyńska: Zróżnicowanie społeczne a zróżnicowanie językowe w wielkiej aglomeracji miejskiej na przykładzie Łodzi, językoznawcy bowiem prowadzą badania nad szeroko pojętym językiem naszego regionu i samych łódzian. Jak pan widzi, zebrało się tego nie mało.

— Panie Profesorze, poruszyliśmy sporo tematów, z których każdy wymagałby z pewnością rozwinięcia. Czy zgodził się Pan na to, że na zakończenie zacytuję część zdania, zaczerpniętego ze świetnej książki Pana pióra o Stanisławie Dygaczu? Pisze Pan: „Udatnie starał się przezwyciężyć zastoiny myślowe i uczuciowe; izaży sentymentalizm w postawie wobec życia i w literaturze...” Czy wolno mi użyć tych słów jako motta tej rozmowy z Panem Profesorem?

Rozmawiał:
WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

ANDRZEJ F. GRABSKI

KULTURA SZLACHECKA

Kazimierz Wyka zauważył niegdyś, że tak dawne i zdawałoby się nie mające nic wspólnego ze współczesnością formacje kulturowe, jak barok czy sarmatyzm, nadal funkcjonują w naszym społeczeństwie, chociaż „w szczerym przebraniu”, jako określone wzorce zachowań czy psychiczne predyspozycje w środowiskach, które ze szlachą nie miały nic wspólnego. Wybitny badacz kultury staropolskiej, Janusz Tazbir w ogłoszonej niedawno (1978) w serii „Omega” pięknej książeczce pt.: „Kultura szlachecka. Rozkwit — upadek — relikty” na zakończenie swych refleksji zebrał wiele przykładów na to, że pogłosy szlachetczyzny nie tylko były wśród nas obecne wczoraj, ale że nierzadko spotykamy się z nimi i dziś. Mam jednak wątpliwości, czy wszystko to, co autor uważa za relikty szlachetczyzny, jest nim rzeczywiście. Prawda, że nasza tytułowana „przypomina dawne zamieszkanie do zdobienia nazwiska tytułami starostów, podczaszyc i wojzkowych”, ale chyba jeszcze bardziej nasładowe kult tytułów nieboszczyki C. K. Monarchii Austro-Węgierskiej. Nie jest przypadkiem, że kult ten naśladuje funkcje po dziś dzień w byłej Galicji. W Krakowie należy do dobrego tonu przedstawiać się np. przez telefon posiadającym tytułem naukowym, a jego pominięcie w rozmowie lub — nie daj Boże — wymienienie niższego, aniżeli przysługującego, jest fatalnym faux pas. Zresztą tytuł dr., doc., a zwłaszcza prof. rzeczywiście... ułatwia tam załatwianie przeróżnych spraw. Wiem coś o tym, bowiem nie bez powodu kiedyś niebawem po nominacji profesorskiej jechałem do Krakowa, zabrałem o to, by w legitymacji służbowej znalazł się mój nowy tytuł. Ułatwiło mi to nie tylko sprawy hotelowe, ale nade wszystko pracę w różnych bibliotekach. Niech sobie socjologowie piszą — z pewnością nie bez podstaw — o tym, że „przymiotnik „szlachecki” jest stosowany przeważnie do zjawisk zdecydowanie negatywnych”, ale wydaje mi się, że wcale nie odstrasza to niektórych naszych współrodaków od cudaczego snobizowania się „na szlachtę”. Koledzy archiwisci mogą powiedzieć, że bynajmniej nie należy do rzadkości takiej gość w archiwum, który pragnie, by mu sporządzono godnie wyglądające drzewo genealogiczne. Podobno — nie ręką za pewnością informacji — istnieją nawet określone stawki, za które niezamożni studenci historii gotowi są fabrykować zainteresowanemu tego rodzaju produkty. Ogromne zapotrzebowanie na podobne fabrykaty istnieje wśród zagranicznej Polonii: sam miałem propozycję sporządzenia drzew genealogicznych, jedną od Polaka zza oceanu, z zawodu profesora humanistyki, drugą od jakiegoś jegomościa, który miał być irlandzko-polskiego pochodzenia i rzekomo wywodził się od przodków o nazwisku, które w Polsce — przynajmniej dawnej — nie mogło po prostu istnieć. Obie propozycje były poparte ofertami honorariów, oczywiście nie w obiegowej walucie PRL. Wystarczy przejechać się autobusem lub tramwajem i rzucić okiem na wyciągnięte — z konieczności, wobec permanentnego tłoku w miejskich środkach komunikacji — ręce rodaków pięć miesięcy. Na luz to palcach lśnią dziś herbowe sygnety z najróżniejszymi znaczkami, mojąymi historię, zającego się nieco na heraldyce — jest to bowiem szacowna dyscyplina pomocnicza historii — przyprawie i zamort głowy?

Zgadzałem się z J. Tazbirem, że istnieją we współczesnym naszym społeczeństwie mechanizmy nawiązywania do tradycji uprzywilejowanej niegdyś warstwy społecznej, że w niektórych przypadkach nie możemy tego uważać za zjawiska ujemne, choćby tam, gdy chodzi o poczucie własnej godności, honoru, tak niegdyś sublimowane przez szlachtę. Są to wartości uniwersalne, dlatego też zasługują one na uwagę dzisiejszego pokolenia, jako coś, co łączy teraźniejszość z przeszłością narodową. Ostatecznie „Pan Tadeusz” jest arcydziełem... apologii szlachty, a przecież uważamy go za klejnot narodowej kultury, którego nie tylko nie myślimy się wyrzekać, ale dopiero w naszych czasach uczyniliśmy własnością wszystkich Polaków. Rację ma J. Tazbir powiadając, że „tradycja historyczna dawnego państwa staje się ogólnonarodową, niezależnie od ceny tych czy innych królów lub dekadencji pewnych symboli”. Zgoda też, że tradycje staropolskie — „recte szlacheckie” — odrywają pewną rolę w kulturze współczesnej, czego wszakże nie należy wybryzmiać, „dopatrując się zgola absurdalne w każdym zjawisku społecznym ich złych lub dobrych wpływów”. Lecz istnieją jeszcze snobizmy, które z pewnością mogą śmieszyć, ale powinny być przedmiotem bystrego obserwatora.

DOROTA CHRÓSCIELEWSKA

Myslałam — może mężczyzna
którego wybrałam
ale nie

Może młodość bujna
która mija
ale nie

Może ciało dorodne
które daje i bierze
ale nie

Prawie wiem Jest jak nagła
ślepotą jasnovidzów
prochu ukreowanie

Przed nią nie ma ucieczki
Oto dotykam zastony
I zastona nie pęka
I porażona ręka
I strop nade mną stromy
I oto ściskam w palcach
gwiazdę ze zgniętej słomy

Mala głupia dziewczynko
Ona nie zna litości
Przed nią nie ma obrony

Nie ma jej z lewej strony
Nie ma jej z prawej strony

I porażoną rękę unoszę do zastony.

Wszystko przygotowane na jego powrót
Stół krzesło tapczan bluzka z walensjanką
— tylko strzepnąć i włożyć

Wszystko przygotowane na jego powrót
Szytne prześcieradła miękkie poduchy
Egri Burgundi i nawet
świeca w srebrnym lichtarzu

Ale już nie pamiętam co chciałam mu powiedzieć
nie jest mi potrzebny do życia
Nie jest mi niezbędny do szczęścia
Jakiej bezbrzeżnej litości trzeba aby nie poznał
że słowa zawsze i wszędzie
nie znaczą zupełnie nic

Wszystko przygotowane na jego powrót

Szampion Palmolive niebieski zielony i żółty
Zapewni ci dobre samopoczucie
Tusz do rzęs Maxa Factora
zapewni ci szczęście
Garnków pokrytych teflonem
prawie nie musisz zmywać
Dziecko karmione odżywką
rośnię ci jak na drożdżach

W moim martwym mieście
o ulicach bez perspektyw
Młodzi malarze widzą
świat z przetrąconym kręgosłupem
Młodzi poeci boją się
moru ognia i wojny
Pewien zaś mędrzec zaprzeczył
istnieniu świata i nawet
swojemu już nie dowierza

A dokoła są ludzie szczęśliwi
którzy wiedzą na pewno
że Bóg jest Albo że nie ma
I którzy wiedzą na pewno
jak żyć

Wpłynęłam na szerokie wody
Z łęku się dławię Z żalu krtusze
A one patrzą Boże Drogi
Jakie dziś noszą kapelusze

Próbuję schwytać wieczne pióro
w moje nietrwale jakże dłonie
A one patrzą Boże Drogi
z kim się całują na balkonie

A przecież nie ma ni balkonu
ni mnie I twarzy mej we łzach
Atrybut Boga Wszecchoobecność
gdy moim nieobecność Brak

Jak rzeka co się topi w morzu
aby w wieczności jego minąć
jestem a one Boże Drogi
patrzą z kim piję ciemne wino

I biegną śliczne mieszczaneczki
do owej rzeczki jak owieczki

A przecież wcale nie ma rzeczki
balkonu ich Mej twarzy we łzach
Atrybut Boga Wiara we mnie
gdy moim żal Zdumienie Strach

W zasadzie rodzina moja należy do przeciętnych. Tak, teraz kiedy mam już swoje lata i pewną sumę doświadczeń, kiedy na wiele spraw potrafię spojrzeć z perspektywy czasu, mogę zupełnie chłodno rozmyślać nad przeszłością. Ten chłód sprzyja maksymalnemu obiektywizmowi w ocenie zdarzeń i wypadków, jakie napotkałem na swej drodze życia.

O przeciętności mojej rodziny świadczy chyba przede wszystkim podobieństwo do setek, do tysięcy innych rodzin. Wszyscy jej członkowie to ludzie o najrozmaitszych wadach i zaletach. Ludzie wielcy i całkiem mali i ci, nie wyrastający ponad przeciętność.

I tak na przykład był przed wojną w rodzinie znany lotnik, który wsiadł się kilkoma latami już historycznymi przelotami. Zginął śmiercią żołnierza w pierwszych dniach tragicznego Września. Wuj Kazimierz był natomiast zdolnym inżynierem, budowniczym. Szybko jednak pieniądze przesłoniły mu świat, zszedł na kręte ścieżki nieuczciwych machinacji finansowych i wiódł przez całe lata hulawczy żywot za rządowe pieniądze. W rezultacie — znalazł się pewnego dnia za kratkami, by wyjść na wolność dopiero po ośmiu latach. Albo siostra babki. Była ponoć piękną kobietą, ale rychło rodzina wyklepała ją ze swych szeregów, bo choć była niezależna finansowo, poczęła dorabiać, puszczając się za przedwojenne złote, a towarzystwa szukała wśród co wyższych oficerów stacjonującego w mieście regimentu kawalerii. Wyjechała potem na Bliski Wschód z jakimś podstarzałym majorem i wnet słuch o niej zaginął. Dopiero po wyzwoleniu nadeszła wiadomość, że zmarło się biedaczce podczas zarazy, a ciało spoczywa gdzieś na obrzeżach Damaszku. Jeden dziadek skończył jako ostatni alkoholik i nie warto o tym mówić, ale już drugi dziadek dochrapał się stanowiska księgowego w dużym przedsiębiorstwie. Ojca pamiętam jako bardzo porządnego i uczciwego człowieka, który całe życie poświęcił nam, dzieciom. Matka przykładowie prowadziła dom i z ojcem żyła w zgodzie. Starszy brat jest maszynista pociągu i dobrze zarabia. Przez piętnaście lat nie spóźnił się do pracy. Młodszy brat niedawno rozszedł się z żoną i wstąpił do zakonu.

Można by tak długo jeszcze o każdym z rodziny. Byłoby to następnym dowodem, że familia moja ani tyci nie wystaje ponad przeciętność i normalność.

Tak jednak nie jest. Tak jednak nie jest i przemilczeć tego nie sposób. Otóż, cała męska część rodu, wszyscy mężczyźni byli lysi i są lysi. Pamiętam opowieści o tym, jak to próbowali się leczyć, szukając najrozmaitszych środków i chwytając się przedziwnych metod kuracyjnych. Próbną to były wysiłki, bo choroba okazała się dziedziczna i nieuleczalna. Nawet współczesna medycyna jest

Gdy wróciłem z frontu zaraz po zakończeniu działań wojennych, moją pierwszą czynnością było sprawdzić, czy żyją najbliżsi, a jeżeli tak, to gdzie się mogą znajdować. Nie zastałem jednak, niestety, nawet ulicy, przy której stał nasz nieduży domek. Dosłownie wszystko wokół leżało w gruzach, a po tych strzelistych brzozech, co rosły po lewej stronie ulicy, pozostały kalekie kikuty. Serce ścisnęło mi się na taki widok, ale zaraz zacząłem rozpytywać o swoich. Od znajomych dowiedziałem się, że tak rodzice, jak i bracia zginęli podczas bombardowania w 1944 roku.

Włóczyłem się przez trzy dni po tym mieście — trupie, zaglądałem do znanych mi dziur i ogarniało mnie przerażenie. Wszędzie martwa pustka, ziejące zgłiszcza i gruzy.

Decyzja moja była prosta — wyjechać i szukać szczęścia na Ziemniach Odzyskanych. Wiedziałem przecież, że nie jadę w ciemno tylko do Rzepina. Mieszkał tam Franciszek Bielak, mój serdeczny towarzysz walki, z którym przemierzaliśmy cały dosłownie szlak bojowy. Nie chcę doprawdy wspominać tego piekła, jakie dane było nam wspólnie przejść, by koniec końców dotrzeć do samego Berlina. Franek, w cywilu lekarz weterynarii, był dowódcą czołgu, a ja kierowałem tym blaszanym cielskiem.

W tym strasznie ciasnym i niewygodnym pudle przesiadaliśmy razem ładny szmat czasu. A sam czoiż zmienialiśmy aż siedmiokrotnie. Pozostała część naszej załogi uległa, niestety, także częstym zmianom, tak bardzo przecież bolesnym. Grzebialiśmy chłopaków po drodze i nad każdą świeżo usypaną mogiłą zastanawialiśmy się, którego z nas następnego będą chować. Ledwie zdążyliśmy do siebie przywyknąć, zaprzyjaźnić się, a już trzeba było kopać następny grób. Taka to była ta wojna. Nieustępliwa i okrutna. Zabierała któregoś z nas, a myśmy tylko mocniej zaciskali usta.

Franek był twardy i ja tej twardości od niego się nauczyłem. Postanowiliśmy, że się nie damy. Zaparliśmy się i kosztucha nie zdołała nas chwycić, choć bywało już naprawdę niewesoło. Ja oberwałem trzykrotnie, w tym raz ciężko, ale wyszedłem z tego. Franek zaś był ranny też trzy razy, lecz za każdym razem lekarze

bezradna, a najlepsi lekarze specjalści rozkładają ręce. Dzieci pięciomiesięcznej rodzą się bez owłosienia i w okresie późniejszym nie wyrasta im nawet jeden włos, choćby najmniejszy. Tak więc dosyć dawno już rozwiali się jakiegokolwiek nadzieje na zmianę tego stanu rzeczy. Pozostało się tylko przyzwyczaić. Nie jest mi łatwo o tym mówić, ale wielokrotnie narażeni byliśmy na przykrości, szykany i niewybredne dowcipy. Nasłuchaliśmy się wystarczająco wiele głupich kawałów i chamskich uwag. A to o tym, że jedyne, co nam w życiu wyszło, to włosy, a to o pożyczaniu grzebień, to znów o lysym i rzyżym. Nie użalam się nad sobą, ani nie zamierzam w nikim wzbudzić współczucia. Taka jest po prostu prawda i już.

PAWEŁ GRZEGORZ LARECKI ŻONA

Przyznam się, iż od początku chęć powiedzieć o czymś zupełnie innym. Ten przydługi nieco wstęp był jednak nieunikniony i posłuży mi teraz jako pretekst do dalszej opowieści.

Jak wspominałem, swoje lata mam i nie jestem człowiekiem młodym. Ach, co ja mówię, przecież jestem właściwie młody! Przekroczyłem nie dawno czterdziestkę i ku memu ogromnemu zaskoczeniu, doszedłem do niej w stanie kawalerskim. Nigdy zresztą nie nie robiłem w tym kierunku, by stan ten zmienić, ponieważ uważałem, że jeżeli miłość ma przyjść, to przyjdzie, a z nią wszystkie jej konsekwencje. Nie przychodziła. I ja jej też nie szukałem. Ukończyłem studia politechniczne i wkrótce otrzymałem ciekawą pracę w biurze konstrukcyjnym. W miarę upływu lat nabrałem przeświadczenia, że życie samotnego mężczyzny ma swoje niezaprzeczalne uroki, choć nieraz... e, szkoda gadać. Pogodziłem się również z przyklepaną mi tu i ówdzie etykietką starego kawalera. Praca zawodowa pochłaniała mi sporo czasu, ale lubiłem ją. Nawet większą część każdego urlopu spędzałem wśród swoich wykresów i szkiców.

W tym roku było inaczej. Skorzystałem z możliwości sanatoryjnego leczenia. Potrzebny był mi ten wyjazd, a że rada zakładowa zatwierdziła mi prawie wszystkie formalności, których bałem się zawsze jak ognia, więc rzuciłem pracę i pojechałem do tego Ustronia. Dalej jak w tanim filmie. Poznałem dziewczynę. Ruda, bardzo ładną i dojrzałą. Pochodziła z niedużego miasteczka i od ośmiu lat pracowała w tamtejszej przychodni lekarskiej dla dzieci. Jej niezwykająco ogniste włosy wspaniale harmonizowały ze śniadą cerą. Ślicznie trzepotała długimi rzęsami, chowając za

nimi wesołe oczy. Podobała mi się naprawdę.

Razem chodziliśmy na zabieg i kąpiele. Razem jadaliliśmy w przysanatoryjnej stołówce. Razem odbywałam długie, piesze wędrówki. W końcu — razem też spędziliśmy kilka miłych wieczorów w restauracji i u mnie w pokoju. Kiedy nastąpiła chwila rozstania pojawiły się łzy, gorące słowa i obietnice i raz jeszcze łzy. Potem przyszło codzienne niemalże pisywanie listów, następnie spotkania, poprzedzone mejącą, wielogodzinną podróżą do jej miasteczka i znowu ciężkie do zniesienia dni rozłąki. Nie sposób było dużej ciągnąć meczarnie. Postanowiliśmy się pobrać. Powiadają: „Do trzydziestu lat człowiek się żeni sam, po trzydziestu żeni go diabeł”. Ale żarty na stronę. Wiedziałem przecież, jak mocno ją kocham i wiedziałem też, że to odwzajemnione uczucie. Tak też jakoś, w trzy miesiące potem wzięliśmy ślub. Żona sprowadziła się do mnie. Byłem już jako tako urządzony, a i miasto jednak znacznie większe. Po ślubie wróciliśmy do mojego, teraz już naszego mieszkania. Przyszli z nami świadkowie i kilku ro najbliższych znajomych. Żona przygotowała skromniutki poczęstunek, wypiliśmy kilka lampek wina i czas upłynął bardzo przyjemnie.

Nareszcie zostaliśmy sami. Była tu jeszcze z nami ta nasza miłość, trochę spóźniona, ale na uczucie każda pora jest dobra. Wierzyliśmy też w szczęśliwą przyszłość, bo ufaliśmy sobie, a to najważniejsze. Zgasilem nocną lampkę. Teraz już oboje wdziliśmy, że jesteśmy tylko dla siebie. Całowałem jej skronie, uszy, nos, usta, i szyję. Dotyk jej rąk wprawiał mnie w dziwne oszołomienie. Jej pierś miała smak, jakiego nie znałem, a całe ciało, cudownie pachniało. Nabrzmiałe wargi szeptały słowa, od których dostawałem gęsiej skórki. Drżała, a ja zapragnąłem dać jej z siebie tyle, by ukoić to drżenie. Nagle zaczęłem o coś ręką. Pociągnąłem lekko. W bransoletkę mego zegarka wplątało się pasemko rudych włosów. Nie mogłem sobie poradzić z ich odczepieniem. Szarpałem i poczułem swobodę. Z niepokojem zapaliłem światło. U przegubu ręki wisiła mi damska ruda peruka. Spojrzałem na żonę. Była lysa. Moja żona była kompletnie lysa! Głowę miała gładką, jak kolano. Patrzyłem na nią chwilę, a zdawało mi się, że trwam tak w bezruchu całą wieczność. — „Tyle razy chciałam ci powiedzieć — rzekła z płaczem — o mojej chorobie, jaką przeszedłam w dzieciństwie. Nie miałam jednak odwagi... Na szczęście choroba skończyła się tylko tak...”. I dotknęła ręką miejsca, gdzie winny były rosnące włosy. Słuchała. Ująłem jej dłoń, pociągnąłem ku sobie i jąłem okładać pocałunkami tę lysą, jedyną, najdroższą w świecie głowę. I całą resztę. Taką bliską mi, taką bardzo, bardzo, kochaną.

stawiali na nim krzyżyk. A on, psia-krew, nie dał się nigdy. Tylko wylizał się z ran, brał helmfon i wsiadał do czołgu. Z tej właśnie racji zyskał w dywizji miano „Nieśmiertelnego” i tak też najczęściej go nazywaliśmy.

Do Rzepina dotarłem po kilku dniach; takie to było wtedy podróżowanie. Ostatnie 80 kilometrów

GRANAT

przebiełem piechotą. Padliśmy sobie z Frankiem w objęcia i co tu dużo ukrywać, nie sposób było skryć męską, piekącą łzę. Cóż, wojna nie była najlepszą porą na rozczulanie się, ale teraz nastał czas bardziej sprzyjający uczuciom. Okazało się, że Franek dalej pracuje jako weterynarz. Już od półtora miesiąca czynny jest tu ośrodek zdrowia. Znalazło się przy nim miejsce i dla lecznicy zwierząt, bo dawna została wykorzystana na hotel robotniczy.

Wyszukałem więc sobie w „moim” już teraz Rzepinie domeczek z czerwonej cegły, po Niemcach rzecz jasna. Najbardziej radował mnie nieduży, ale śliczny ogródek z kilkoma drzewami owocowymi i altanka. Mogłem się tu urządzać tym bardziej, że podjąłem właśnie pracę w pobliskiej spółdzielni produkcyjnej. Gromada potrzebowała dla spółdzielni rachmistrza, a ja zdążyłem przed wojną ukończyć szkołę handlową.

Jakoś tak jesienią 1945 roku poznałem miłą i rezolutną dziewczynę z sąsiedztwa, córkę aptekarza z Łasku. Widocznie przypadliśmy sobie do gustu, a może i do serca, bo na Boże Narodzenie zaręczaliśmy się, a w pierwszy dzień Wielkiej Nocy czterdziestego szóstego pobraliśmy się. Wkrótce Marysia zaszła w ciążę i zaczęłam szukać lepszej pracy. Otrzymałem stanowisko referenta w urzędzie gromadzkim. Jak na tamte czasy byłem człowiekiem z kwalifikacjami i to nie było jakimś. Obmyśliłem sobie z żoną, że jak się to dziecko urodzi na chrzestnego poprosimy Franka. To tylko pozornie nie jest ważne, kogo prosi się w kumy. Jest faktem, iż właśnie Franek był je-

dynam człowiekiem, do którego ja mógłbym się z tym zwrócić.

Franek nie został ojcem chrzestnym mojego dziecka. Urodził mi się trzy i półkilowy chłopak, ale to nie Franek trzymał go do chrztu.

A było to tak. Jeden rolnik przynosił do lecznicy krowę. Chorowała ona na krzywica i od dłuższego czasu, ale teraz to już zaniemogła na dobre. Obejrzał Franek krowę swoim wprawnym okiem i zawyrokował: „Nie ma dla niej chyba już ratunku, widać po ślepiach”. Nie dał jej jednak na doróżnienie, tylko postanowił dobrze jeszcze zbeadać, dla spokoju sumienia. Powalili ją na posadzke, a Franek zaczął macać jej brzuch i gnieść wszystkie bebecchy. Wtedy właśnie nastąpił ten wybuch. Franka i krowę rozerwało na strzępy, a kawałki mięsa, nie wiadomo Franka czy krowy, poprzylepiały się do ścian i stropu. Rolnik ocalał, bo akurat poszedł po „Sporty” do gospody.

Z milicyjnego raportu wynika, że wybuch nastąpił od granatu, jaki ekipa specjalistów z województwa zlokalizowała w trakcie wizji lokalnej w... krowim żołądku. Ekspert orzekł, iż to ów granat był powodem choroby zwierzęcia. Sam granat był zabezpieczony, lecz środowisko, w jakim się dwa lata znajdował, a więc głównie kwasy żołądkowe — było przyczyną jego daleko posuniętej korozji. Energiczna rada Franka dopełniła reszty.

Chcieli potem napisać Frankowi na mogile, że zginął od granatu, ale ja się nie zgodziłem, bo przeszedłem z nim całą wojnę i Franek od granatu nie zginął, choć niewiele brakowało.

Pytanie, skąd granat w krowim żołądku pozostawał kilka lat bez odpowledzi. Dopiero w 1951 roku ów rolnik uzupełnił milicyjny protokół, zawiadamiając komendę, że jego stary ojciec przypomniał sobie przed śmiercią ten dzień, jak Niemcy szukali we wsi partyzanckich melin i broni. Nie miał stary czystego sumienia, bo pomagał tym z lasu. Trzymał w obrzebie kilka granatów, po które mieli przyjąć partyzanci. I jak wpadli Niemcy, był akurat w obrzebie. Dwa granaty wepchnął swojej starej za stanki, dwa wcisnął w kieszeń, a ten ostatni, co mu został w ręce — włożył krowie w gardło i jeszcze patkiem popchnął, bo nie chciał wejść.

„Odrażający, brudni, żilni...” — elokwencja tego tytułu zadośćczyni w istocie obydnej zawartości filmu Ettore Scolla, który bez większej przesady można by przyrównać do gigantycznego kuba z pomysłami. W czym rzecz? Nie jest to, wbrew pozorom, film o terrorystach włoskich, to raczej sam reżyser terroryzuje widza obrazami przekraczającymi częstokroć reguły estetycznego fair-play'u. Jest to opowieść o ludziach zdegradowanych, do poziomu bytowania zwierzęcego, których niewymownie nędzne życie toczy się na marginesie obrzygniętej, współczesnej metropolii europejskiej, czyli Rzymu. Sceneria tego filmu jest przerażająca: oto przed nami wielki ludzki śmietnik złożony z koszmarnie prymitywnych, slumsów pozabawionych najelementarniejszych warunków higienicznych, gdzie w każdym z nich na przestrzeni kilku metrów kwadratowych gnieźdzą się w nieopisanym brudzie kilkunastoo-bowe rodziny. To słynne Zatybrze, rzymskie suburbium, przysłówowe siedisko nędzy, zbrodni i prostytucji, plebejska dzielnica ludzi przybyłych za chlebem do stolicy najwchwilniejszych i roztrząskanych złudzeń i nadziei.

Nie nowy to temat w powojennym kinie włoskim, które poczęło się ze słynnego neorealizmu. W neorealizmie opis pieńskiej odysei, której jedynym celem było utrzymanie się na powierzchni życia, stanowił jedną z podstawowych sytuacji fabularnych. Jednakże neorealizm, który stworzył niezwykle bogatą technikę artystyczną w celu zobrazowania wszelkich możliwych odmian ludzkiego upadku i poniżenia zachował wszakże, więcej, uczynił przedmiotem moralnego kultu elementarny dogmat humanistyczny: człowieczą godność. Kierunek ten, jak wiadomo, rozplynął się w polowie lat pięćdziesiątych. Jego rozpadzie epoka „cudu gospodarczego”, lata narastającego optymizmu społecznego i pozorowego dobrobytu. Jednakże obok tych, których prad prosperity porwał w górę byli i tacy, którzy poszli na dno dna. O nich właśnie zrobił film Ettore Scolla.

Fabula tego filmu jest nieważna i wąta. Historia upiornej rodziny, która pragnie wyrwać ojcu-satrapie pieniądze uzyskane z tytułu ubezpieczenia jest zaledwie pretekstem do rozszucia obrazów penetrujących granice ludzkiego upadku. Bo proszę sobie wyobrazić taką oto rodzinę: szalejący w paranoicznej furii półświeży ojciec-alkoholik (niezwykła kreacja Nino Manfrediego, kojarząca się ze słynnym żebrakiem z „Viridiana” Bunuela), który sprawdza do małżeńskiego łóża prostytutkę monstrualnych rozmiarów, zidociała babka na inwalidzkim wózku, której renta stanowi jedyne legalne źródło dochodu wszystkich, syn — czerpiący zyski z pederastii, synowa — prostytutka, z którą spółkują szwagrowie z tessem na czele, gromadka dzieci — bekartów, że nie wspomnę o licznym, natrętnie fotografowanych scenach z zakresu ludzkiej fizjologii. Po co to wszystko? Hageł mawiał, że wszystko, co istnieje jest rozumne, spróbujmy zatem zastanowić się nad tymi obrazami.

Nagromadzenie ohydny, przykładowo ludzkiego zezwierzęcenia przekracza w tym utworze wszelkie granice naturalizmu i staje się irytującą prowokacją. „Poetyka śmiechu”, która ten film konstytuuje urasta do rangi swoistej perwersji estetycznej. Reżysera nieomal nie interesuje przyczyna degradacji tego świata, socjalna analiza jego skrajnego materialnego i duchowego ubóstwa, wciąż go jedynie „szmaciarska” malowniczość jego rozkładu. Zbiory obrazów, któremu podlega ta zapomniana przez Boga i ludzi społeczność ulega w miarę upływu akcji monstrualnemu ślęczeniu. Kompozycja tego filmu, który zaczyna się w opisowym trybie obiektywizującej relacji doskonale znanej z klasycznej dawniej neorealizmu nabiera wkrótce cech jawnej symbolizacji i alegoryczności. Ale to tylko sugestia głębi, bowiem film w granice rzeczy nie wychodzi poza obraz realnie istniejącego zjawiska. Scenie urzeka ta ludzka fauna, jej patologiczne reguły współżycia i zachowania. Film często zabarwia się farsowym, czarnym poczuciem humoru, zdegenerowanym populizmem rozegranym w groteskowej tonacji. W pełnych wigoru i osobowości scenach „Odrażających”, przegląda się niekiedy z daleka duch Rabelaisa. Jednakże znacznie łatwiej wskazać na pokrewieństwa bliższe, z obszaru współczesnej kinematografii włoskiej, która ma charakter symptomatyczny dla włoskiego stanu ducha. Bowiem Scolla nie jest pierwszy i osamotniony w zgłębianiu psychologicznych i społecznych dźwięków. Przedtem był nieobliczalny Ferreri ze swoim piramidalmym wybrkiem „Wielkim żarciem”, także Pasolini, który w swoim ostatnim filmie „Salò” doszedł do ostatecznych (chyba) granic tego, co jeszcze ludzkie, wreszcie głośno przed paru laty włoskie kino kontestacji z filmami Belleocho i Samperiego na czele (np. „Pięści w kieszeni” i „Dziękuję ci, ciociu”). Ta estetyka, estetyka wynaturzenia, krykatury, dwuznacznej brzydoty jest także bardzo bliska Fellinimu.

Trudno traktować wymienione tu filmy, które pokazują, że co miesiąc się poza normą poza kulturą za racjonalne rozpoznanie sytuacji i próbę wyłączenia z kryzysu, który ogarnął włoskie społeczeństwo. Stanowią one raczej wyolbrzymiony, intensywny symptom sytuacji krytycznej, rodzaj zapisu zbiorowej podświadomości, która kino ujawnia zwykle najwierniej.

TADEUSZ SZCZEPAŃSKI



Foto: A. Kurycki

ANDRZEJ MAKOWIECKI

KTO KOCHA SECESJĘ?

Łódź ma wreszcie swoje prawdziwe city. Ciągłe jeszcze budujemy trasę Wschód — Zachód i dopiero po jej zakończeniu będzie można w pełni ocenić efekt, ale już teraz wiadomo, że jest dobrze. Kto stanie przy rogu Piotrkowskiej i Głównej, tam, gdzie przewala się dzisiaj zasadniczy front robót, nie ma wątpliwości, że znajduje się w ogromnym mieście, takim, które dobija miliona i które za parę lat można będzie nazwać, bez ironii, metropolią.

Chwała tym, którzy wykorzystali szansę!

Oczywiście nie same ulice i gmachy stanowią o randze miasta. Łódź jednak przed wszystkim brakowało wyglądu — mieszkańcy zawsze było dużo, przemysł zawsze był mocny, kultura jak kultura, ostatnio jest kilka nazwisk i kilka placówek, które liczą się nie tylko w kraju. To samo można powiedzieć o nauce, która pozostając w cieniu innych wydarzeń, bardzo często ma większe sukcesy i większe znaczenie niż spektakularne dziedziń życia.

Pracownicy pozostawili nam w spadku niewysokie, zwarte śródmieście o wąskich ulicach, które biegły prosto jak strzelił i przecinały się jak linie na szachownicy. Brak jakichkolwiek zakrętów i wzniesień sprawiał wrażenie dość monotonne i ponure, aczkolwiek niektóre domy, choćby te przy Piotrkowskiej, były (i są) niepośledniej urody. Centralnej części miasta brakowało przestrzeni i powietrza. Krótko mówiąc: dystansu, który pozwalałby docenić urodę secesyjnych kamienic. Brakowało również kontrastów — często nowy dom robi wrażenie przy starym, a mały przy dużym, jeśli oczywiście jest w tym wszystkim jakaś architektoniczna myśl.

Szczelna zabudowa śródmieścia długo opierała się wszelkim próbom rozbudzenia i modernizacji, która nie zawsze zresztą, choć nieśmiała, wychodziła miastu na zdrowie. Dawno temu spaskudzone na przykład dwie ulice, w pewnym sensie — historyczne kawiarnie: Akademicka i Grand. Przez długie lata odnosiłem wrażenie, iż w Łodzi dokonuje się tylko, żeby użyć nomenklatury sto-

matologicznej, czyszczenia i uzupełnienia ubytków, brakło natomiast śmiałych zabiegów chirurgicznych.

Wreszcie jednak przyszła i na to kolej. Powiem z ręką na sercu, że imponuje mi rozmach, z jakim przystąpiono do przebudowy śródmieścia, że podoba mi się nowa kompozycja przestrzeni i że nie ma w zasadzie domów, które musiałby paść, a które oplakiwałbym rzewnymi łzami. Okolice Dworca Fabrycznego, nowe połączenie ulicy Gdańskiej z ulicą Andrzeja Struga i aleją Kościuszki, wreszcie (mowa tylko o ostatnich dokonaniach) to wszystko, co zamknięte jest pomiędzy ulicami Świerkiewicza, Nawrot, Kościuszki, Żwirki, Piotrkowskiej i Brzeźną, szczególnie zaś może ów gotowy już niemal kompleks ogromnych, dwudziestopiętrowych domów mieszkalnych, zwanych Manhattanem — to jest zupełnie inna Łódź, robiąca zapewne wrażenie nawet na gościach z zagranicy. Z takim miastem każdy może się zgodzić.

Można zgodzić się także z powszechną, jak mnie zapewniano, tendencją wkraczania na partery i pierwsze piętra starych domów mieszkalnych w śródmieściu, służy to bowiem ożywieniu ulicy. Dobrze, kiedy wszędzie jest jakiś szyl, jakiś neon, jakaś ładnie brzmiąca nazwa instytucji czy kawiarni. Secesja jeszcze lepiej komponuje się wówczas z nowym budownictwem, przydając miastu nowych blasków.

Redakcja nasza otrzymała jednak sygnały, iż to, co dzieje się wewnątrz niektórych parterowych i piętrowych mieszkań, które przeszły z rąk prywatnych lokatorów w ręce urzędów, napawa niepokojem, troską, a czasem także wściekłością. Aby to zrozumieć, trzeba sobie najpierw wyobrazić te mieszkania — wielkie, po dwieście — trzysta (albo i więcej) metrów kwadratowych, ze sztukaterią, tapetami, ozdobnym parkietem i terakotą, z ciężkimi, brązowymi żyrandolami, z kryształowymi szymbami w wykuszowych oknach, z kłamkami, z których każda jest dziełem artysty-rzemieślnika, i tak dalej. Są to mieszkania — symbole, mieszkania — muzea, żywe jeszcze świa-

dektwo minionej epoki, które chciałoby się przynajmniej częściowo zachować dla potomnych, tak, aby mieli świadomość miejskich tradycji, aby wiedzieli, że oprócz miłych skądinąd bloków na Retkini i Widzewie, w Łodzi było jeszcze i działa się jeszcze coś więcej.

Z chwilą, kiedy jednak prywatny lokator opuszcza takie mieszkanie, do akcji wkraczają hyeny i szakale. W Muzeum Historii Miasta nazywa się ich Czarną Brygadą. Są to ludzie, którzy w przeciwnieństwie do niektórych instytucji i urzędów, mających objąć w posiadanie historyczną schedę, doceniają takie głupstwa i drobiazgi, jak wspomniane już żyrandole i kłamki, klepki parkietowe, mozaikę ścienną i kryształowe lustra. Są to ludzie, którzy sobie tylko wiadomym sposobem wiedzą na kilka miesięcy wcześniej, który dom zmieni właściciela i który zostanie zburzony. Wiedzą również, co w tych domach jest i co ewentualnie można by wyszabrować, aby sprzedać potem na czarnym rynku tym, którzy stawiają wille, albo urządzają mieszkania w stylu retro.

Kustosz Muzeum Historii Miasta — Bronisław Podgarbi, twierdzi na podstawie bogatych, osobistych doświadczeń, że bezczelność i swoista odwaga Czarnych Brygad nie mają granic — wdzierają się oni do opustoszałych mieszkań bez względu na to, czy są zapłombowane czy zamknięte na klucz. Krótko mówiąc: jest to normalne bandyckie włamanie, którego lupem pada to wszystko, co dla przyszłego właściciela nie przedstawia żadnej wartości. Przyszły właściciel sam często obtłukuje sztukaterie, zmienia kłamki i sprzedaje na złom żyrandole, żeby unowocześnić wnętrze. Przyszły właściciel woli mieć nad głową żarzeniówki, a w oknach i drzwiach znormalizowane (jak to się pięknie mówi), obłe kłamki z aluminium. Przyszły właściciel jest w pewnym sensie wdzięczny Czarnym Brygadom za oczyszczenie terenu. Nie jest natomiast im wdzięczny ani Konserwator Zabytków, ani dyrektor Muzeum Historii — wszystkie te starocie woleliby widzieć na miejscu albo w swoich zbiorach.

Niejednokrotnie więc chroni się teren przed szakalami. Tak mówi dyrektor Antoni Szram, szef Muzeum. Chroni się nawet wtedy, kiedy przyszły użytkownik o to nie prosi.

Kustosz, Bronisław Podgarbi, w czasie akcji zapobiegawczych wielokrotnie spotkał się z Czarną Brygadą osobiście, ot, chociażby w kamienicach przy ulicy Głównej i przy Piotrkowskiej. Potężny, silny mężczyzna nieraz potrafił ją spłoszyć, przepędzić, ale przyznaje, że często włamywacze są górami; nie sposób przecież pilnować wszystkich opuszczonych mieszkań. Dom przy Piotrkowskiej 159 został doszczętnie spłądowany, podobnie jak wiele innych domów.

Ostatnio problem ten wyniknął w związku z wywaterowaniem lokatorów z zabytkowej kamienicy przy Piotrkowskiej 143. „Odgłosy” otrzymały list z prośbą o interwencję. Jeden z byłych lokatorów ogromnego mieszkania, uznając wprawdzie zasadność decyzji władz, które poleciły rodzinie opuścić lokal (rekompensatą jest inne, mniejsze mieszkanie), protestuje przeciwko ewentualnemu rabunkowi tego, czego zabrakłoby stamtąd niepodobna. Mieszkanie odegrało dużą rolę w życiu kulturalnym — kręcono tam istotne sekwencje wielu głośnych filmów, między innymi „Lalki” odbywają się tam koncerty i spektakle teatralne zespołów studenckich.

Wzburzony ex-lokator pisze: „Rozumiem decyzję władz miejskich, które postanowiły inaczej spożytkować lokal. Nie rozumiem jednak, dlaczego tu właśnie ma powstać restauracja rybna, co spowoduje oczywiście całkowite zniszczenie zabytkowego wnętrza, zmianę jego przeznaczenia i straszliwe koszty. Kiedy patrzę na takie marnotrawstwo, serce mi pęka”.

Autor listu nie występuje z pozycji interesów własnych i rodziny. Stwierdza, że decyzja władz miejskich nie budziłaby żadnych wątpliwości, gdyby opuszczone mieszkanie przejęła jakaś poważna instytucja kulturalna, tak „aby wartość wnętrza zachowano zmieniając tylko jego przeznaczenie”. „A teraz — czytamy dalej — rozwali się piece, kominki, piękne drzwi z kryształowymi szymbami, posadzki pielęgnowane Bóg wie jak długo, a potem będziemy szukać zabytkowych kłamek, drzwi, czek do pieca i luster, odfotografowywać w Paryżu desenie stiuków na sufitach”. „A może... „to wszystko nie ma żadnej wartości i należy to rozwalić?... Bardzo możliwe, ale nikt kompetentny mieszkania nie obejrzał i takiej opinii nie wydał, zadowolono się planami i przekonaniem, że nie może to mieć jakiegokolwiek wartości”.

Reporter „Odgłosów” był kilkakrotnie we wspomnianym lokalu przy ulicy Piotrkowskiej 143 m. 2. Rozmawiał z rodziną, a następnie poprosił o konsultację dyrektora Muzeum Historii Miasta, mgr Antoniego Szrama oraz kustosa Bronisława Podgarbio. Ich decyzja była jednoznaczna: lokal (jak i cała kamienica) należy do obiektów zabytkowych, wiąże się z historią Łodzi, jego wyposażenie winno być chronione. Gdyby kłamki czy żyrandole miały paść lupem Czarny Brygady, lepiej żeby trafiły do muzealnych zbiorów — stwierdza dyrektor. Brzmi to jak oferta, jednakże Antoni Szram jest mądrym, uczciwym i dalekowzrocznym człowiekiem.

— Jeszcze lepiej — powiada — aby przejeło to jakieś towarzystwo naukowe czy kulturalne, ot, choćby Związek Literatów Polskich, który od dłuższego już czasu szuka odpowiedniej siedziby. Takie rozwiązanie gwarantowałoby szacunek dla wszystkiego, co pozostanie w środku.

Reporter, powołując się na tę opinię, przedstawił sprawę prezesowi Związku Literatów. Doszło do kolejnej wizji lokalnej. Niewykluczone, iż łódzcy pisarze doczekają się wreszcie godnego siebie lokalu.

A jeśli nie...?

Tak czy owak wszystko, byle nie restauracja rybna, która potrafi zasmerdzić nie tylko cały dom ale i pół ulicy. Jest zapewne wiele poważnych związków twórczych i instytucji, które chętnie wzięłyby lokal w posiadanie, tym bardziej że są tam wszelkie warunki do uprawiania działalności kulturalnej — salon, w którym można urządzać koncerty (nie tylko kameralne), pomieszczenia, gdzie zmieściłby się duży księgozbiór, także kawiarnia — rzecz jasna! Mamą nawet nazwę: LITERACKA. Bardzo brakuje Łodzi takiego lokalu, i nie gdzieś z boku, na peryferiach, tylko właśnie tu, w samym centrum, które wkrótce stanie się prawdziwą wizytówką miasta.

Lokalizacja jest wymarzona. W pobliżu są dziennikarze, literaci, nauczyciele, plastycy, wydawcy, a także, przede wszystkim, władze kulturalne. Wzajemne, jakże rzadkie dotychczas, kontakty twórców mogłyby rzeczywiście zintegrować środowisko i wnieść sporo ożywienia w dziedzinę szeroko pojętej kultury.

CAŁE ŻYCIE NA BOISKU

Dalszy ciąg ze str. 1

W szeroki świat

— Popatrzcie, popatrzcie — mówili wtedy wytwórni panowie do wytwórnych pań — ten mały ma snykawkę do gry. Mogłoby z niego być dobry tenisista. Obiecuję ci dziecko.

Tak było w Naleczowie. W Lublinie był już wielki świat. Ogromne boiska ogrodzone drewnianymi balustradami. Prawdziwe bramki. Kosztowne sportowe. Władkowi oczy pałyły się do takiej gry.

W Lublinie zaraz po wojnie, stajonowali francuscy żołnierze. Grał w piłkę nożną. Chodzili więc chłopcy popatrzeć, jak Francuzi grają, podawali piłkę, a kiedy tamci odpoczywali, mogli sami trochę pokopać na prawdziwym boisku. W piłkę nożną grali też uczniowie gimnazjum lubelskiego. Zaprzyjaźnił się z nimi Władek Król. Dopuśczał go czasem do gry. Buty pozyczał.

W Lublinie powstał w tym czasie Wojskowy Klub Sportowy, w którym na ogół grali oficerowie i tam już

Łódzki rzemieślnik, człowiek poważny — Romuald Kowalski miał pięciu synów Stanisława, Aleksandra, Stefana, Antoniego i Zygmunta. Wszystkich pięciu grało w piłkę nożną w **Łódzkim Klubie Sportowym**. Potrafili tak zarządzić sportem rodzinę, że rodzina Kowalskich własnym sumptem wybudowała kort tenisowy dla EKS.

Po wojnie chłopcy Romualda Kowalskiego rozjechali się po kraju za nauką i pracą. **Aleksander Kowalski** trafił do Lublina, a że go ciągnęło do piłki nożnej, więc zaczął grać w „Lubliniance” jako środkowy napastnik. **Władysław Król** był lewym łącznikiem.

W lubelskiej fabryce samolotów —

pierw w fabryce maszyn włókienniczych, później w fabryce włókienniczej, a na koniec w Elektrowni Łódzkiej, gdzie pracował aż do 1946 roku.

Kiedy skończył 20 lat, dostał kartę wcielenia do wojska. Przesem EKS był wtedy pułkownik E. Chilariski. Kazał się wojskiem nie przejmować i dalej grać. Król się jednak uparł, że chce odbyć służbę wojskową.

— Dobrze — powiedzieli mu w klubie — odbędziesz służbę wojskową w Łodzi.

Długo czekał na to, a kiedy nie mógł się doczekać, zdenerwował się i... wrócił do Lublina.

— A jednak wróciłeś — ucieszyła się matka. — Na moje wyszło.

— Na twoje, na twoje — nie dawał za wygraną ojciec — ale piechotę nie wrócił, tylko pociągami i nie biegał cię na kolanach, abyś mu pozwoliła zostać.

— Ale wrócił! — cieszyła się matka.

Jeszcze w czasach szkolnych pojechał kiedyś **Władysław Król** do Zakopanego, na kurs narciarski. Pułkownik **Aleksander Bobkowski** który wtedy był w Zakopanem, a który był prezesem Polskiego Związku Narciarskiego zwrócił uwagę na **Władysława Króla** i zaproponował mu przeniesienie się do Zakopanego. Obiecywał załatwić miejsce w zakopiańskiej szkole, aby tylko poświęcił się narciarstwu. **Aleksander Bobkowski** szukał wtedy młodych zdolnych narciarzy, aby móc z nich zrobić ekipę olimpijską i jednym z nich miał być **Władysław Król**. Do olimpiady było wtedy jeszcze sporo czasu. Można było poświęcić się narciarstwu. Ale rodzice sprzeciwili się.

Teraz, po ucieczce z Łodzi, przydały się narciarskie umiejętności. Wojskowy klub zaangażował go jako instruktora. Miał więc znów pracę, był w Lublinie. Ale zima dobiegała końca i trzeba było pomyśleć o piłce nożnej. Zwiędzieli się o nim we Lwowie i przyjechali do Lublina z propozycją, aby przeszedł do „Czarnych”. Matka ta propozycja bardzo się nie podobała. Gderwała przy każdej okazji.

Ojciec milczał. Wołał się matczynym zawrodozom nie sprzeciwiać. Dzieci rosły i rosły wydatki. Władkowie pieniądze liczyli się w domowym budżecie. Siedząc w domu nie musiał wydawać na mieszkanie, pranie i jedzenie. Wahał się więc **Władysław Król** i niepotrzebnie, bo o wszystkim zadecydowano w Łodzi. Po prostu przyszło wcielenie do Łodzi, do 28 Pułku Strzelców Kaniowskich. Musiał więc wracać do Łodzi i mógł dalej grać w EKS. Rodzice nie mogli się temu sprzeciwić. Wiadomo: wojsko — siła wyższa.

W 1930 roku znów jest **Władysław Król** na liście strzelców ligi. Miał w tym roku na swoim koncie 13 bramek, tyle samo, co **Eugeniusz Herbstreich** — kolega z EKS i **Henryk Reyman** z krakowskiej „Wisły”. Później jeszcze **Władysław Król** wpisał się na listę strzelców ligowych w 1932 roku i tu znów podzielił się miejscami z **Eugeniuszem Herbstreichem** i **Fryderykiem Scherfke** z „Warty” Poznań. Wszyscy zdobyli po 14 bramek i podzieliли się miejscami od 2 do 4. Powrócił na listę strzelców ligowych w 1935 roku i zajął 6 miejsce, strzelając 13 bramek.

W historii EKS **Władysław Król** należy do rekordzistów w strzelaniu bramek. Pierwsze miejsce zdobył bezsprzecznie **Aleksander Kowalski**, który na 115 spotkań strzelił 130 bramek. **Władysław Król** rozegrał przeszło 400 spotkań i strzelił 104 bramki. W reprezentacji Polski występował natomiast cztery razy i strzelił 4 bramki.

Nieźle wiodło mu się w hokeju.

Polska w mistrzostwach hokejowych Europy zadebiutowała w 1928 roku. Nasza drużyna zajęła wówczas 6 miejsce wśród 16 drużyn uczestniczących, co uznano za dobry początek. Później były mistrzostwa Europy w Wiedniu w 1927 roku, gdzie nasza drużyna zajęła 4 miejsce. A w rok później nie najlepszy debiut olimpijski w St. Moritz.

W 1936 roku, kiedy inż. **Aleksander Tupalski** i **Lucjan Kuleja** montowali olimpijską drużynę, powołali do niej również **Władysława Króla**. Spodziewano się, że Igrzyska Olimpijskie w Garmisch-Partenkirchen będą zorganizowane dobrze, jako że gospodarzami są Niemcy, a przecież fama głosiła, że są oni dobrymi organizatorami. I istotnie. Policji hitlerowskiej było co niemiara. Pilnowano niemal każdego zawodnika i działacza. Tylko w czasie otwarcia Igrzysk, zamiast hymnu fińskiego odegrano... szwedzki.

Niemcom bardzo zależało na tym, aby zagraniczni sportowcy jak najszybciej rozegrali swoje spotkania i wyjechali. Wpłynęli więc na organizatorów, składając ich do przyspieszenia zawodów. Zespoły Finlandii i Jugosławii wycofały się więc z Igrzysk.

W tamtych czasach bywało, że ci sami ludzie pełnili różne funkcje. Na przykład — **Aleksander Tupalski** i **Lucjan Kuleja** nie tylko kierowali przygotowaniem polskiej drużyny ale sędziowali olimpijskie spotkania. Sędziował również prezes hokejowej federacji — **Paul Loicq**. On to prowadził mecz Austrii z Polską i był gorącym sympatykiem Austriaków. Podsygnował karnego, choć jak twierdzą obserwatorzy tego spotkania, nie było ku temu powodów. Strzelał austriacki napastnik o polskim nazwisku — **Nowak**. Polski bramkarz, **Józef Stogowski** obronił, obronił też dobitkę, ale **Nowak** wyluskał krążek spod bramkarza i strzelił po raz trzeci. Prezes — sędzia **Paul Loicq**, pogratulował austriackiemu zawodnikowi i nie uznał wyrównującej bramki, strzelonej przez **Andrzeja Wołkowskiego**, bo — jak twierdził — padła w ostatniej sekundzie, choć nie przebrzmiały jeszcze dźwięki syreny.

Polska przegrała z Austrią 1:2, później z Kanadą 1:8 i odpadła z rozgrywek. Polacy wygrali z Lotwą 3:2, ale lotyscy hokeiści byli bardzo słabi.

W Garmisch-Partenkirchen spotkał **Władysław Król** prezesa Polskiego Związku Narciarskiego, pułkownika **Aleksandra Bobkowskiego**.

— O, widzę, że zamienił pan kij narciarski na kij hokejowy.

— Jakos tak się złożyło, panie prezesie.

— Nie szkodzi. Grunt, że pan tu jest, że trafił pan do olimpijskiej drużyny. To się przede wszystkim liczy.

Władysław Król reprezentował barwy polskie w 19 międzynarodowych spotkaniach hokejowych i strzelił 3 bramki.

Po przerwie

Wśród pierwszych, którzy po wojnie zgłosili się do EKS, był **Władysław Król**. Dwanaście razy wystąpił w drużynie piłkarskiej, a w hokeja grał do 1950 roku. Grając w hokeju nie hokejowej trenował piłkarzy. Był też trenerem hokeistów. Z EKS przeszedł do RTS „Widzew”, gdzie również trenował piłkarzy. Później wrócił do EKS. Był trenerem mistrzowskiej drużyny.

— Obserwuję poczynania męża od bardzo dawna — mówi **Wanda Król**. — Doszedł do wniosku, że trener nie może być młody, bo nie ma doświadczenia, nie poznał życia i może popełniać błędy w stosunku do ludzi.



którymi przychodził mu kierować. **Władkowi** — tak mi się wydaje — udało się tego uniknąć, bo sporo w życiu wdział. On sam przez długie lata był trenerem dla siebie. Musiał wiedzieć, czego mu brakuje, czego musi się nauczyć. Rozumiejąc siebie i analizując swoje poczynania sportowe, nauczył się rozumieć innych. Miał autorytet.

Kiedy **Leszek Jezierski** brał ślub z **Henia**, to mówił, że oni wzmną przykład z życia trenera. Noc posłubną **Leszek Jezierski** spędził u nas, bo następnego dnia był ważny mecz.

Piłkarską drużynę EKS objął **Władysław Król** w 1950 roku. Piłkarze zakończyli sezon 1950 roku na 9 pozycji w ligowej tabeli. Po objęciu zespołu przez **Władysława Króla** nie od razu zmieniła się sytuacja. W 1951 roku piłkarze zajęli ponownie 9 miejsce, a w 1952 roku spadli z pierwszej



Foto: W. Parys

ligi. Powrót nastąpił dość szybko. Już w 1953 roku EKS awansuje do ekstraklasy i w 1954 roku zdobywa wicemistrzostwo Polski.

W 1953 roku **Łódzki Klub Sportowy** zdobył mistrzostwo Polski w piłce nożnej. Rok wcześniej — **Puchar Polski**, wygrywając z „Górnikiem” Zabrze w finale 2:1. Te dwa piękne zwycięstwa łódzkich piłkarzy przypały na jubileusz 50-lecia istnienia **Łódzkiego Klubu Sportowego**. A trener zwycięskiego zespołu obchodził wtedy 30 lat.

Władysław Król spędził w **Łódzkim Klubie Sportowym** 50 lat. W marcu 1978 roku minęło pół wieku od chwili, gdy przybył do Łodzi i do EKS. Dzisiaj jest już na rencie. Odchodząc z czynnego życia sportowego — dzięki staraniom przyjaciół — otrzymał **Krzyż Kawalerski**.

— Co mi dał sport? — mówi **Władysław Król**. — Sam się często nad tym zastanawiam. Dał mi niewątpliwie zdrowie. Skończyłem już 70 lat, a przecież przez długie lata nigdy nie chorowałem. Nauczyłem się liczyć na siebie, na swoje umiejętności. Jak by się potoczyło moje życie, gdyby w nim nie było sportu? Nie wiem, bo kto to może wiedzieć, ale chyba musiałbym się ze sportem zetknąć. Była we mnie taka potrzeba.

Majątku się na sporcie nie dorobiłem. Ale ileż różnych miałem przeżyć, ile ludzi ciekawych spotkałem i po świecie trochę jeździłem. I to



dostępu nie było. A takich, jak **Władysław Król**, chętnych do gry w piłkę kręciło się wokół stadionu wielu. Zainteresował się nimi wojskowy lekarz, porucznik **Bryl**, który sam grał w piłkę z wielkim zapalem, ale konflikt skłaniał go na dłuższą beczynność. Stworzył drużynę, która stała się znaną „Lublinianką”.

W „Lubliniance” **Władysław Król** grał nie tylko w piłkę nożną, grał w tenisa, nauczył się jeździć na nartach, zainteresował się też hokejem.

— Brzdął to dziś może dziwnie i fantastycznie — mówi **Władysław Król**. — Ale to były początki sportu w Polsce. Myśmy jeździli wtedy na nartach na łyżwach, grali w koszykówkę, w piłkę nożną dla przyjemności, dla satysfakcji. To była wielka radość wyjść na boisko, strzelić gola. Próbowaliśmy nawet boksować, ale dobrze obserwałem od przeciwnika i dalem temu spokój. Przez 15 lat gry w piłkę nożną czy hokeja nie robiłem formy, nie musiałem o to dbać. Kończyło się grać w piłkę nożną, to zaczynała się koszykówka, później był hokej, narty. No i myśmy nie pili i nie paliли. Jak grałem w pierwszej drużynie „Lublinianki”, to ubierałem się w harcerek mundur, aby nikt mnie nie mógł namawiać do picia czy palenia. A jeździłymi wtedy po kresach wschodnich, gdzie stały polskie garnizony i rozgrywałyśmy mecze z tamtejszymi wojskowymi drużynami. Nie jeden raz zdarzało się, że prozono nas do kasy na na kolację, gdzie nie brakowało pijanych oficerów, którym odmówić wypicia z nimi kieliszka wódki było prawie niemożliwe, ale mundur harcerek to oni szanowali.

W tamtych czasach nie wolno było uczniom grać w klubowych drużynach. **Władysław Król** był jednak oficjalnie zarejestrowanym piłkarzem, bo w szkole rzemieślniczej patrzyli na to przez palce. Gorzej było z innymi zawodnikami „Lublinianki”. Na trzy dni przed maturą wyrzucono ze szkoły w Lublinie **Tomasza Gołębiowskiego**, który w „Lubliniance” był bramkarzem. No i zaczęło się.

W Krakowie wychodził w tym czasie — a był to rok 1925 — „Kurier Sportowy”. Był to „tygodnik poświęcony wszystkim galezjom sportu”. Redagował go i wydawał dr **Wacław Wołkiewicz**, a później **Tadeusz Synowicz** — piłkarz, kapitan reprezentacji piłkarskiej Polski, szachista i redaktor. Ukazały się tylko 43 numery „Kuriera Sportowego”, ale było to pismo, które odegrało w historii polskiej prasy sportowej niemałą rolę. Kontynuowało znakomite tradycje lwowskiego „Wędrowca” i stało się protoplastą wysoko cenionego krakowskiego tygodnika sportowego „Raz, Dwa, Trzy...”, wydawanego przez koncern „IKC” w latach 1931 — 1939. Ale wróćmy do „Kuriera Sportowego”. To właśnie na jego łamach nazwano **Władysława Króla** obiecującym młodzieńcem i wzięto w obronę **Tomasza Gołębiowskiego**.

gdzie po skończeniu szkoły pracował **Władysław Król** — wstrzymano pracę, gdyż samolotem produkowanym przez fabrykę zdarzyła się katastrofa. I tak lewy łącznik „Lublinianki” znalazł się bez pracy. Zmarnowało to przede wszystkim jego matkę, bo trzeba było w domu wykarmić osiem osób i każdy grosz się liczył. Rozglądali się więc **Władysław Król** za pracą, kiedy pewnego dnia zagadnął go **Aleksander Kowalski**:

- Nie pojechałbyś do Łodzi?
- Po co?
- Żeby tam grać w piłkę?
- Tu nie mogę?
- Ale tam dostaniesz pracę.
- A gdzie bym grał?
- W **Łódzkim Klubie Sportowym**.
- Zastanów się.
- Żeby tylko nie długo.

EKS grał w I lidze. Wprawdzie w 1927 roku zajął tylko 7 miejsce, a w 1928 roku też mu się lepiej nie wiodło, nawet gorzej, ale zawsze była to drużyna ligowa. „Lublinianka” próbowała swoich sił w rozgrywkach o mistrzostwo Polski jeszcze przed powstaniem ligi, ale w 1926 roku przegrała z „Craconią” 0:12 i zajęła w grupie południowej 3 miejsce, mając jedną bramkę zdobyta i 39 straconych. Grać w EKS to był awans.

Matka zalamana ręce z rozpaczą, gdy usłyszała o pomysle syna.

- Bój się Boga, **Władziu** — powiedziała — gdzie ty pojedziesz między obcych ludzi.
- Co mu bronisz, niech jedzie — nie sprzeciwiał się ojciec, który był w Ameryce, przewedrował kawał Rosji i poznał smak wódeczki.
- Niech jedzie, nie będę mu broniła — zrezygnowała matka. — Piechotę do Lublina wróci. Na kolanach będzie nas prosił, abyśmy go przyjęli.

— Babskie gadanie — machnął ręką ojciec. — Jedź!

W klubie przyjęto go serdecznie. EKS obchodził dwudziestolecie istnienia. Zorganizowano między innymi jubileuszowy turniej tenisa. **Władysław Król** pokazał się więc od razu jako zdolny tenisista, wygrywający w deblu i singlu. Zimą wyszedł na lód i okazało się, że i w hokeju można na niego liczyć.

W 1928 roku **Władysław Król** wpisał się na listę najlepszych strzelców polskiej ligi. Strzelił wtedy 17 bramek, tyle samo, co **Józef Ciszewski** z warszawskiej „Legii” i **Władysław Przybysz** z „Warty” Poznań.

Olimpijczyk

W kilka dni po przyjeździe do Łodzi otrzymał obiecany pracę. Naj-

BOGDA MADEJ LUCJUSZ WŁODKOWSKI

(Fragment reportażu z książki „Stadion pełen wspomnień”, która ukazuje się nakładem Wydawnictwa Łódzkiego).

MIEDZY DONICZKĄ A ZIELNIKIEM

Najnowsza powieść Włodzimierza Krzemińskiego, „Żelazne liście”, jest kolejną w dorobku autora książką związaną z własnymi przeżyciami wojennymi. Czy w dalszym ciągu, mimo coraz znaczącego upływu czasu, beletrystyka traktująca o szeroko pojętej rzeczywistości wojennej, mając niepodważalną rację bytu, ma szansę na czytelnika?

Jeden z bohaterów powieści Krzemińskiego, będący bodaj w dużym stopniu odpowiednikiem autora, wyznaje w kończącej utwór monologu:

„Jak byłem chłopakiem, to mi starzy ciągle chcieli o wojnie gadać. O tamtej tam się rozumieć (...). Jużem tego wcale słuchać nie mógł, a jak byłem starszy, to nawet zryczaśnie powiedział: — Przesztańcież, do cholery, z tą waszą wojną!

No, tak samo pewnie nasze dzieci powiedzą, nie? Chcę powiedzieć, że niewiele im opowiecie, bo nie będą chciały słuchać...”

Sporo autorskiego sarkazmu kryje się w tym stwierdzeniu wyeksponowanym umieszczeniem w finale książki. Nie mam pewności, czy sarkazm ten jest całkowicie uzasadniony. Literatura o wojnie nie jest chyba skazana na racji samej tematyki na niecierpliwie ruchy ramion czytelników, czy nawet wręcz odwracanie się plecami. Po pierwsze termin „o wojnie” jest tak szeroki, iż nie wskazując nie konkretnie, nie może wywołując u czytelnika jednoznacznej reakcji. Po drugie: właśnie określone rodzaje pisarstwa związanego tematycznie z okresem ostatniej wojny mają swych wyspecjalizowanych i niezmiennie wernych odbiorców. Rzecz to powszechnie znana, iż jedni woła Przymianowskiego, drudzy Wałkowieza. Ktoś zachwyci się Bratnym, mając w nosie Białoszewskiego, ktoś inny dokładnie na odwrot. Ale przecież może się zdarzyć i bywa tak, że nawet grupa zainteresowanych czytel-

ników przysnie nagle mimo pierwotnej ochoty i zaciekawienia. Mówiąc najkrócej: termin „o wojnie” to żadne kryterium. Przyjęcie konkretnej powieści „wojennej”, jak i każdej innej, zależy w równej mierze od tego o czym się napisało, jak i od tego, jak się napisało.

„Żelazne liście” Krzemińskiego opowiadają o przemianach, jakie zaszły w okresie wojny w spokojnej, żyjącej do tej pory na uboczu wsi saksońskiej. Jest ona w dalszym ciągu fizycznie odległa od ośrodków polityki i centrów dyspozycji. Ale w jej unormowane, zastępy wręcz w skonwencjonalizowanych formach życia codzienne wtargnęła oto nie Wojna, jako przejaw niepodległego racjonalizacji Losu lecz materialni, jako tako żywi ludzie, jeńcy wojenni oraz wywiezieni na roboty cudzoziemcy. Jakkolwiek ten temat nie poprowadzić — czy w kierunku drobniarstwa realizmu, czy w kierunku uniwersalnych konstatacji o specyfice człowieczego bytu — punkt wyjścia jest znakomity.

Na malej, zamkniętej i izolowanej scenie, boć niemieccy gospodarze — rodzice i dzieci, jeżeli pozostali we wsi, to z polecenia, obserwujemy dramat person różnych nie tylko indywidualną niepowtarzalnością, ale i grupowym: społecznym i narodowym „wyposażeniem”. Stwarza to stan permanentnej konfrontacji — wszystko zderza się ze wszystkim. Literackim efektem tego typu obserwacji może być, a raczej winna być albo pełnia, albo selekcja. Albo synteza — wielka epika, albo powieść „psychologiczna” lub „realistyczna” — skrupulatny rejestr i analiza. Rozwiązanie, jakie wybrał Krzemiński budzi szacunek dla pomysłowości i intuicji autora. Mając świadomość konieczności wyboru — a ktoś dzisiaj zamarzy o epopei! — sięgnął po sposób, który wzbogacił i tak, jak się powiedziało, niezmale możliwości temat. Kazał mówić samym miesz-

kańcom saksońskiej wieży Babel, rezygnując z roli nazbyt i podejrzanie mądrego tłumacza.

Kolejne rozdziały to monolog wybranych aktorów. Dwukrotnie osiemnastoletniej Niemki, Trudi, podglądającej scenę zza żelaznych liści, przez male — kuchenne rzecz jasna, okienko i także dwukrotnie Jeana, Francuza spełniającego wszystkie obowiązki gospodarza w obejściu naprzeciwko do drugiej stronie drogi. Raz oddaje autor głos młodej Werce, noszącej literę P, a mającej jeszcze do wyboru dwie Ukrainy i raz, w rozdziale końcowym, wspomnianemu już Wackowi.

Cóż bardziej obiecującego niż oglądanie tej samej rzeczywistości różnymi oczyma, z różnych punktów widzenia? A jednak, moim zdaniem, Krzemiński tej szansy, stworzonej sobie, nie wykorzystał. Wielorakie możliwości będące efektem doskonałej koncepcji autora wyznańczył zarazem skalą trudności realizacji pomysłu. O wiele łatwiej bodaj sporządzić rzetelną literacką faktografię obserwowanych wydarzeń niż oglądać je „odbite” w psychice uczestników. Bohaterzy kolejnych monologów nie ujawniają nam w trakcie swych wywodów nie ponad kilka podstawowych rysów nazbyt uproszczonej osobowości, w wyniku czego razi przecie wszystkim brak przekonujących motywacji określonych zachowań.

Choćby Jean: co łączy jego pewną dystynkcję i dojrzałą powściągliwość z ekscytacją „palcówkami” i młodzieńczą skwapliwością? Jaka jest psychologiczna sankcja współwystępowania powtarzanego zwrotu „muszę wrócić” i ryzykanctwa objawianego nie tylko współżyciem z żoną nieobecnego gospodarza, ale i ulatwianiem spotkań innej, nie zaprzyjaźnionej z nim parze? I ta pasja wertowania encyklopedii nie „pasująca ani do niego, ani do sytuacji, typowa dla nudy oflagu i stamtąd pewnie wzięta, jako przypomnienie konkretnego przypadku. Drastycznym przykładem niesprostania wymogom jest jednak zwłaszcza postać Werci. Cały dramat jej obecnej sytuacji, całe skomplikowanie czekającego ją wyboru miejsca pod przyszły dom, uległy uproszczeniu rażącemu na przykład w zestawieniu z charakterystyką Szymona Drozda, bohatera Auderskiej.

Komplementarne z psychologicznym ubóstwem postaci jest wyeksponowanie, jako podstawowego dyektatu złożonej społeczności wiosek, współżycia Niemiec z cudzoziemskimi jeńcami i robotnikami. W efekcie kulminantą dramaturgiczną po-

wieści jest decyzja córki mszczącej się na matce donosem na postępującą podobnie sąsiadkę. Zresztą w konstrukcji powieści widać niekonsekwencje. Przebieg wydarzeń ujawnianych w następujących po sobie monologach prowadzi przez narastające komplikacje do tragicznego rozwiązania — donosu i śmierci wziętego przez gestapo Polaka. Dysonansem w owej dramatycznej całości jest wpleciony nagle wątek zbiegłych z oflagu pckich jeńców, zaprezentowany ponadto w nowej, będącej zgrzytem konwencji powieści kryminalnej. Nie znajdujemy odpowiedzi na pojawiające się pytania — skąd nadmierna aktywność przy gaszeniu stogów, dlaczego brak przyski, ziemia na łopacie, itd. Odpowiedzi pojawiają się dopiero w monologu Wacka, będącym klasyczną w powieści kryminalnej końcową reakcją wyjaśniającą. Przy czym rola tego rozdziału w powieści nie sprostawa się do wyjaśnienia zagadki. Wywód Wacka miał bodaj stanowić zamknięcie dramatu społeczności wioski, a stał się faktycznie luźno związaną z resztą, chaotyczną dodatkową opowieścią o losach Polaków po zakończeniu wojny w strefie amerykańskiej. Charakterystyczny to przejaw braku kompozycyjnej dyscypliny autora.

Wspomnieć wreszcie trzeba o uszterkach samej narracji. Autor lepiej się chyba czuje w nieskomplikowanych narracyjnie małych formach prozatorskich. W „Żelaznych liściach” jest kilka fragmentów, w których wbrew przyjętej w tej powieści zasadzie nagłe obok monologującej w pierwszej osobie postaci pojawia się wszystko już wiedzący narrator z zewnątrz. Dzieje się to przy tym tak, iż nie wiemy czy nadal będziemy mieli do czynienia z mową pozornie zależną, czy dokonano się przejście w mowę zależną.

Powieść Krzemińskiego jest dobrą lekturą i będzie zapewne skwitowana życzliwie przez określoną grupę czytelników, szukających książek „do czytania”. Faktem jest jednak, iż autor obudził w nas nadzieję na dużo więcej niż otrzymaliśmy. W którymś momencie jedna z bohaterów opowiada o poznawczych walorach japańskich motyli w dzieciństwie. Czekamy więc na dawkę lepidopterologii, lecz okazuje się, że autor wyposażył panią Prün w znajomość — cytrynka, kapustnika i pająk królowej.

Włodzimierz Krzemiński, *Żelazne liście*, Łódź 1978, WL, s. 224, zł 23.

PRODUKCJA UBOCZNA „ZIEMI OBIECANEJ”

Wśród relacji z bieżących programów telewizyjnych wymknęła mi się jakoś sprawa czteroodcinkowego serialu Andrzeja Wajdy „Ziemia obiecana”, emitowanego w wieczory niedzielne na przełomie maja i czerwca. Wracam więc do tematu, choć z opóźnieniem.

Dziękując się wrażeniami z odbioru serialu Jerzego Antczaka „Noce i dnie”, porównywałem ten wieloodcinkowy spektakl z wielkoekranową wersją tego utworu. Opowiedziałem się przy tym za serialem, uzasadniając, że to co w kinie mogło być nieco nużące, owa rozlewność epicka i jednostajność, stała się siłą serialu, splatając telewizorów trwałym węzłem z losami rodziny Niechiczów.

W przypadku „Ziemi obiecanej” adaptacja klasycznej powieści także zaprezentowana została publiczności w dwójakiej formie, przy czym film kinowy również wyprzedził emisję serialu. Podczas gdy jednak Antczak planował zarówno obraz dla kin, jak i serial już na etapie realizacji, to rzecz miała się inaczej. Wajda całość swych artystycznych zamierzeń i ambicji zaangażował w realizację wersji kinowej. Serial powstał jako coś w rodzaju produkcji ubocznej, żeby nie powiedzieć: z odpadów.

Kierowniczka produkcji filmu w wypowiedzi dla prasy podkreślała, że pomysł serialu przodził się stosunkowo późno, już po zmontowaniu obrazu kinowego. Reżyser stwierdził wówczas, że nie zmieściło się w nim sporo interesujących materiałów zdjęciowych, często całych sekwencji, które można by wykorzystać w serialu.

Jestem wielkim admiratorem filmu kinowego „Ziemia obiecana”. W oparciu o znaną wprawdzie, ale w kategoriach estetycznych mocno już podstarzała powieść Reymonta udało się Wajdzie stworzyć film współczesny w poetyce i w przesłaniu, nawiązujący (czasem jednak w sposób zbyt sygnalizowany) do kanonów kreatywnej sztuki filmowej ostatnich lat. „Ziemia obiecana” potwierdził Wajda ponownie swoją obecność w światowej czołówce reżyserów filmowych. Co więcej, mimo zmienionej perspektywy w stosunku do spraw poruszanych przez Reymonta, mimo dojrzałej interpretacji mechanizmów społecznych, pozostała ekranowa „Ziemia obiecana” wierna literackiemu pierwowzorowi.

Sukces, jaki przyniosła „Ziemia obiecana” reżyserowi, jest jednak zobowiązujący. Nie należałoby go, moim zdaniem, zmniejszać produkcją „uboczną”, jeżeli nie wiązało się z serialem ambicji artystycznych. Efekt końcowy na małym ekranie nie był w żadnym stopniu współmierny z wielkim ekranem. Miejscami dawało się wyraźnie odczuć, że brak materiału zmusza reżysera do zmiany konwencji, do latania dziur narracją spoza kadru.

Znakomity majster, świetnie czujący różnice gatunków filmowych, wiedział oczywiście, że w serialu główny akcent trzeba położyć na ludzi, na bohaterów pierwszego planu, nie na szerokie tło społeczno-obyczajowe fabuły. Dlatego serial rozpoczął się od trójporozumienia, jakie na terenie przyszłej swej fabryki zawierają Polak Karol Borowiecki, Niemiec Maks Baum i Żyd Moryc Welt. Konsekwentne rozwinięcie i eskoponowanie tego wątku wymagałoby jednak pracy na planie filmowym, a nie wyłącznie przy stole montażowym. Bohaterowie „Ziemi obiecanej”, tak znakomici na wielkim ekranie, w serialu skurczyli się, skarlieli i stali się jakby cieniem tamtych.

Wajda znalazł w Olbrychskim, Sewerynie i zwłaszcza w Psoniaku, idealnych wręcz wykonawców ról trzech przyjaźni — współników. Swoim świadomym aktorstwem wsparli oni wyraźnie reżysera, który w stosunku do protagonyistów w swoich filmach wyznaje z reguły zasadę partnerstwa, nie traktując ich jako masy plastycznej biernie podporządkowanej sobie. Tu dla kontrastu za cytuję za Marią Kornatowską opinię Antonioniego: „Nie zdradzam aktorom moich zamiarów, ponieważ mogłyby stać się czymś w rodzaju konia trojańskiego do twierdzy należącej wyłącznie do mnie!”

Tak, Wajda nie obawia się swoich aktorów, że staną się koniem trojańskim, przeciwnie, wciąga ich do współkreacji filmu. Można by przypuszczać, że i przy realizacji serialu stać byłoby tę trójkę znakomitych aktorów na wiele. Ale oni nie uczestniczyli w zdjęciach do serialu, zostali wmontowani. Z fragmentów zdjęć nie udało się wykreślić serialowych bohaterów, którzy by mieli szansę na zaskarbiecie sobie sympatii telewizyjnej publiczności. Mam też wrażenie, że przeszkoda w tej mierze była zbyt mała ilość odcinków. Gdzież czteroodcinkowej „Ziemi obiecanej” do dwudziestu sześciu odcinków „Palliserów”? To jak sadzawka przy wielkiej rzece.

Rozmawiał:
BOHDAN GADOMSKI

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

„ZATRACA SIĘ NASZ POLSKI TANIEC NARODOWY”

Rozmowa z choreografem „Wieczoru Baletów Polskich” — nowej premiery baletowej w Teatrze Wielkim w Łodzi

Po Conradzie Drzewieckim — palec choreografa na współpracę z baletem Teatru Wielkiego w Łodzi — przejął Zbigniew Kiliński. Tancerz, pedagog, działacz społeczny. Artysta związany z baletem tradycją rodzinną (ojciec, matka, siostra i ciotki — wszyscy tańczyli zawodowo na scenie).

Absolwent warszawskiej szkoły baletowej Solista Baletu Parnella. Pierwszy tancerz Polskiego Baletu Reprezentacyjnego aż do wybuchu wojny. W sezonie 1947-49 związany był z baletem Domu Wojska Polskiego jako solista, pedagog, asystent choreografa. Zaangażowany do organizującej się Opery warszawskiej na stanowisko pierwszego solisty, pozostał wierny tej placówce przez prawie 28 lat (wiele ciekawych kreacji tancerzno-aktorskich, praca pedagogiczna i choreograficzna). Współpracował m. in. jako choreograf z „Mazowszem”, inscenizował „Na szkle malowane” w warszawskim Teatrze Polskim. Współpracował w latach 1970-73 jako wykładowca z londyńską Legat Ballet School. Kierownik artystyczny i profesor warszawskiej Szkoły Baletowej. Działacz związków zawodowych, był przewodniczącym sekcji baletowej SPATIF-u, członkiem komisji kwalifikacyjnych.

Od lutego 1977 roku przeszedł na emeryturę, ale nadal pozostaje czynnym artystą. Występuje gościnnie w warszawskim Teatrze Wielkim. Obecnie pracuje w Łodzi nad „Wieczo-

rem Baletów Polskich”: — „Pieśń o ziemi” R. Palestra, „Apollo i dziewczyna” L. Różyckiego, „Harnasie” K. Szymanowskiego.

— Czy to pierwsza Pana wizyta w łódzkiemu Teatrze Wielkim?

— Jest to moja pierwsza wizyta w Łodzi i po raz pierwszy realizuję balety Palestra, Różyckiego i Szymanowskiego. Aczkolwiek chciałem te balety zrobić od dawna, może dlatego, że sam w nich tańczyłem... W początkowych założeniach miał być zrobiony tryptyk baletowy: „Pieśń o ziemi”, „Baśń krakowska” i „Harnasie”. Nie będzie „Baśni krakowskiej”, bo zaginęła partytura... Zdecydowałem się na „Apolla i dziewczynę” L. Różyckiego jako balet w kontrze do pozostałych dwóch baletów, które są bardzo polskie. „Apollo i dziewczyna” jest przede wszystkim popisem dla tancerzy (od mitologii do współczesności).

— Co jest najważniejsze dla choreografa, który podejmuje współpracę z teatrem: repertuar, soliści i zespół baletowy, warunki pracy, możliwość realizacji własnych przemysłów twórczych?

— Najważniejszy jest repertuar — pozycja baletowa, którą chcę wystawić. Ponadto — uczciwość w zainteresowaniu tym, co robię i świadomość, że zadaniu podołam. Istotną sprawą jest również przygotowanie do tego, co będę robił. Współpraca z dobrym korepetytorem, dobrym kapelmistrzem, dobrym scenografem...

— Jest Pan zasłużonym artystą polskiego baletu, wybitnym jego znawcą. Jak ocenia Pan balet Teatru Wielkiego w Łodzi?

— Przyznam się, że jechałem do Łodzi z nie najlepszym nastawieniem. O łódzkiemu zespoł baletowym słyszałem, że mało zdyscyplinowany, trudny we współpracy... Na miejscu — przekonałem się, że dużo można z tym zespołem zrobić. Jest sporo utalentowanej młodzieży, dobrzy soliści. Przedtem nie znałem tych ludzi.

— Co jest konieczne, aby stworzyć balet o wysokim poziomie?

— Zamilowanie do zawodu i praca! Opanowanie techniki tańca poprzez bazę klasyczną. Współpraca z dobrymi pedagogami, choreografami, twórcami indywidualności wśród tancerzy. Dobrze byłoby, gdyby tancerz — był artystą baletu, a nie tylko odzwierc. Nie należy zabijać indywidualności, lecz pobudzać, rozwijać przy pomocy choreografa te cechy wśród tancerzy, które mają wrodzone i które świadczą o ich autentycznym talencie...

— Ważną rolę w Pana artystycznej działalności odgrywał zawsze polski taniec narodowy. Dziś młodzi artyści baletu nie mają wycucia stylu i charakteru, gdy wykonują polskie tańce. Czy próbuje Pan tego uczyć tancerzy podczas pracy nad baletami w różnych teatrach Polski?

— Zawsze lubiłem rolę charakterystyczne, o mocnym zabarwieniu, chociaż np. Bronisława Niżyńska robiła ze mnie klasyka („Koncert E-moll” Chopina). Bez wątpienia polski taniec narodowy odegrał w mojej pracy ważną rolę. Jestem wychowankiem szkoły warszawskiej, miałem wzory dobrych tancerzy, dziś jest wiele naleciałości tańca rewiewego. Zatraca się nasz polski taniec narodowy. Usiłowałem, będąc pedagogiem i dyrektorem szkoły baletowej, zaszczepić cechy polskiego tańca najmłodszym adeptom sztuki tancerznej. Dziś jest wielu wybitnych teoretyków choreografii, którzy znają się doskonale na zagadnieniu, ale nie potrafią swojej wiedzy zastosować w praktyce. Teoretyk nie może uczyć. Nauczycielem tańca może być tylko praktyk.

— Przez dwa dni asystowała Panu przy pracy nad „Wieczorem Baletów Polskich”, realizowanych dla Teatru Wielkiego w Łodzi. Praca z solistami, z zespołem, żmudna, ciężka, nieefektywna. Czy daje Panu

pełną satysfakcję, Pan przecież już nie tańczy?

— Praca, którą obecnie wykonuję, daje mi pełną satysfakcję! Zaczynałem tańczyć mając lat 8. Przeszedłem dwa lata temu na emeryturę, ale uważam, że za późno. Bardzo mocno angażuję się w pracę, spaliam się w niej... Po każdym dniu pracy, który u mnie zaczyna się rano, a kończy wieczorem, jestem tak zmęczony, że boję się o znalezienie sił do pracy w dniu następnym... Ale kocham balet, któremu poświęciłem swoje życie i cieszę się ogromnie, że otrzymuję wciąż różnorodne propozycje, że jestem potrzebny...

— W „Harnasiach” Szymanowskiego tańczył Pan w 1951 roku — Wodz Harnasiów. Czy z tamtej swojej postaci zaszczepia Pan jakieś cechy dla dzisiejszego wykonawcy?

— Absolutnie nie! Jedynie sugeruję, że postać z tego baletu była bohaterem, o którym pisano pieśni. Z dawnych elementów choreograficznych (wówczas twórcą układów był Stanisław Miszczyk) nie ma w mojej wersji „Harnasiów” — nie podobnego, wymyśliam wszystko od nowa.

— Jakie plany po zakończeniu pracy w Łodzi?

— Odpoczynek, urlop... Przepadam za wędkowaniem, mam daczę i tam szukam relaksu. Pojadę również na Mazury, a następnie do Bułgarii. Po urlopie — wrócę do Łodzi, aby dozłifować tryptyk baletowy, realizowany obecnie w tempie bardzo szybkim. Otrzymałem propozycję ustawienia układów tancerznych do nowej premiery w Teatrze Wielkim w Łodzi, do opery Stanisława Moniuszki „Straszny dwór”.

— Podobno myśli Pan o spisaniu wspomnień ze swego bogatego, artystycznego życia?

— Tak, mam sporo starych, cennych materiałów, które można by wykorzystać. Nie chciałbym pisać przede wszystkim o sobie, ale o tym — jak powstały szkoły baletowe w Anglii, Francji, o ludziach z tamtych lat, tworzących balet, jego podstawy, na których dzisiejszy taniec opiera się i z którego dużo czerpie.

— Dziękuję za rozmowę i życzę zadowolenia z tego, co Pan robi i zamierza zrobić!



Foto: W. Parys

EUGENIUSZ IWANICKI

LECZMY SIĘ ZIOŁAMI

Człowiek, cząstka przyrody, od swoich narodzin pozostawał z nią w ścisłym związku. Nie tylko korzystał z jej dóbr, aby przeżyć, lecz w otaczającym go świecie szukał panaceum na swoje dolegliwości. Tak więc od tysięcy lat rozwijała się ta, jedna z najstarszych, dziedzin wiedzy ludzkiej. Sporo zapisów przechowało się do naszych dni, choćby wspomnieć rodzaj encyklopedii sanskryckiej z zakresu medycyny pt. „Ayur Veda” co znaczy „Nauki życia” z 1300 r. p.n.e., a także starogreckie i rzymskie dzieła Hipokratesa, Dioskoridesa czy Galena. Dopiero rozwój nauk pomocniczych, a także specjalizacja przyczyniły się do zarzucenia tego historycznego, wypróbowanego systemu lecznictwa. Leczenie tzw. zlokalizowane, jednokierunkowe budziło sprzeciw już u starożytnych. Lekarz rzymski Scribonius Largus (ok. 47 r. n.e.) w dziele „Compositiones Medicamentorum” pisał: „Wielu, którzy tylko część wiedzy leczniczej posiadli uzyskali niesłusznie pełne miano lekarza”. Chodziło po prostu o to, że lekarze zaczęli coraz częściej odchodzić w swoich praktykach od leków naturalnych, a wąską specjalizacją kaze zajmować się jednym narzędziem nie zwracając uwagi, że inny jest także chory i wymaga jednoczesnego leczenia. Bywa przecież, że fizjoterapeuta zwraca uwagę na zaburzenia czynności przewodu pokarmowego powstałe z innego powodu, podobnie postępuje okulista, dermatolog, ginekolog itp. A przecież człowiek — to jeden organizm złożony z dziesiątków współzależnych od siebie części.

Chemioterapia jest rewelacją współczesności. Zaden środek pochodzenia roślinnego nie działa tak skutecznie i szybko. To prawda. Jednakże leki chemiczne mają działanie uboczne. Lekarz zapisujący choremu przy schorzeniach czynności przewodu pokarmowego leki chemiczne działa doradźnie na przeciw kilku lub kilkunastu dni (przy nadkwasocie podaje środki alkaliczne, a dla ułatwienia trawienia i przy braku łaknienia zapisuje często kwas solny z pepsyną). Skutek jest wyraźny, lecz wprowadzenie tych leków zastępczych nie pobudza wszakże odpowiednich gruczołów do wzmożenia własnej produkcji. Otrzymuje się chwilową poprawę, nie poza tym. To tak, jakby przy zapaleniu wyrostka robaczkowego podano środek uśmierzający ból. Chory poczuje się od razu lepiej, może zupełnie dobrze, ale to nie znaczy wcale, że proces chorobowy został zatrzymany, że stan zapalny cofnął się. Jest to więc w pewnym stopniu oszukanie pacjenta, ale nigdy organizmu.

Nawrot do leków pochodzenia roślinnego zaczyna coraz bardziej zdobywać poczesne miejsce nie tylko u ludzi chorych, ale także wśród le-

karzy. W świecie obserwuje się wzrost cen na leki pochodzenia roślinnego. W zatrwanym przez chemię cywilizacji nawrót do natury jest czymś oczywistym i zrozumiałym. A w lecznictwie nie jest do pomysłenia sytuacja, w której zabrakłoby specyfików pochodzenia naturalnego.

Zielarstwo jest, jak powiedziałem wyżej, stare jak ludzkość. Ziołom, obok właściwości leczniczych, przypisywano także nadprzyrodzone, czarnoksiężskie. Były one także od niepamiętnych czasów dodawane do pokarmów jako przyprawy. Doc. dr hab. Antonina Rumińska z Akademii Rolniczej w Warszawie twierdzi, że już w epoce kamiennej, tj. przed 500 tysiącami lat, zanim naukowo się gotować, używano przypraw. Najstarsze dokumenty, dotyczące uprawy i stosowania przypraw, pochodzą z VII w. p.n.e. z Mezopotamii. Znano wówczas i stosowano kardamon, kolendrę, koper, czosnek, cebulę, tymianek, szafran i inne. W królewskich ogrodach uprawiano wówczas ok. 60 gatunków roślin przyprawowych. Jeszcze starsze tradycje pochodzą z Indii. Pisemne świadectwa sprzed IX w. p.n.e. wymieniają ponad 600 gatunków roślin przyprawowych i leczniczych, zaś w Chinach zachowały się ślady piśmiennictwa o przyprawach sprzed 2700 lat p.n.e.

Holdowali roślinom leczniczym i przyprawowym Egipcjanie, Sumerowie, Asyryjczycy, Babilończycy, Hebrajczycy, Grecy i Rzymianie. Do Polski na dobre weszły te rośliny wraz z Boną Sforzą, która przywiozła je z Włoch (stąd ich nazwa „włoszczyzna”). Zresztą przyprawy, pachnące zioła stały się bezpośrednią przyczyną odkrycia Ameryki przez Kolumba.

Tyle historii. Dzień dzisiejszy zielarstwa, to cały przemysł zatrudniający setki, jeśli nie tysiące ludzi, ogromne zakłady, pola pod uprawy poszczególnych gatunków ziół, zbieracze rozsiani po całym kraju. Kiedyś zioła zbierano z łąk, suszono i dopiero potem dostarczano do aptek lub zakładów przetwórczych. Na ten temat mamy liczne zapisy i kroniki. W czasie okupacji, jak wszystko w tym kraju, zioła także nie zostały oszczędzone. Niemcy dokonali i tu spustoszeń. Zasobne niegdys regiony — stawały się pustynią. Po wyzwoleniu trzeba było na nowo rozpocząć uprawę niektórych gatunków.

Wśród roślinności Polski, liczącej około 300 gatunków, występuje wiele roślin posiadających właściwości lecznicze. Ponad sto z nich jest zbierane jako cenne surowce. Niestety, roślinność nasza z roku na rok ulega ciągłym, często nieodwracalnym zmianom. Wzrost kultury rolnej tj. uprawa łąk, pastwisk, dokonywanie melioracji rolnych, regulacje rzek, oczyszczanie jezior i stawów, likwidowanie wszelkich nieużytków i zao-

rywanie miedz — wszystko to wpływa na zmniejszenie występowania wielu gatunków roślin i ziół. Oczywiście wydano odpowiednie ustawy o ochronie przyrody. Ale ustawy same niczego nie zafalują. Z jednej strony dąży się do intensyfikacji rolnictwa, z drugiej popyt na leki roślinne i przyprawy przerasta podaż. I jest to tendencja zwyżkująca. Stąd zrodziła się konieczność zakładania plantacji takich surowców, jak: ziele mięty, majeranku, owoców kminku, ziele melisy oraz dla surowców korzeniowych — korzeń lubczyka, waleriany i arcydzięgla. W mniejszych ilościach kontraktuje się cząber, rumianek pospolity, mniszek lekarski. W sumie Łódzkie Zakłady Zielarskie „Herbapol” kontraktują 22 asortymenty. Oczywiście od plantatorów są wymagane szczególne kwalifikacje.

Surowce stały się więc jednym z najważniejszych czynników stymulujących rozwój zielolecznictwa. Gwałtowny rozwój industrializacji kraju, rozwój rolnictwa i całej gospodarki nie pozostał bez wpływu na stan roślin i drzew. To sprawa oczywista i powszechnie wiadoma. Ale od wpływów poważnej ilości ludności wiejskiej do miast, zagospodarowywanie odłogów, chemizacja upraw, a także rozwój przemysłu stały się czynnikiem hamującym dla zielarstwa. Toteż zaszła bezwzględna konieczność upraw niektórych ziół i roślin rosnących dotąd w stanie dzikim, choć nie wszystkie z nich dały się łatwo zaadaptować w sztucznych zbiorowiskach monokultur. Jednocześnie szybko postępująca chemizacja rolnictwa spowodowała, że wiele roślin zielarskich zbieranych ze stanu dzikiego (najlepszym przykładem jest tu rumianek) nie można było dalej stosować w lecznictwie, bowiem nagromadzone w nich substancje toksyczne stały się niebezpieczne dla zdrowia i życia. To także m. in. zdecydowało o tym, że w stosunku do szeregu surowców leczniczych musiano zastosować selektywną hodowlę (okazuje się, że wśród tego samego gatunku mogą występować określone „rasy” chemiczne różniące się jakościowym i ilościowym składem substancji biologicznie aktywnych). Typowym przykładem tego rodzaju roślin są: naparstnik, krwawnik i kozłek lekarski. Obok tego Instytut Przemysłu Zielarskiego wprowadził, po wielu badaniach, 19 gatunków roślin do upraw ze stanu dzikiego, ratując w ten sposób same rośliny, a przemysłowi zielarskiemu dostarczając cenne surowce. Są to rośliny naszych pól i lasów: krwawnik pospolity, dziurawiec zwyczajny, siwiec żółty, turówka wonna, ostrapest palmisty i in. Na przestrzeni ostatniego dwudziestolecia wyhodowano i zarejestrowano 14 nowych odmian roślin zielarskich: bielun indyjski, glistnik jaskółcze ziele, ko-

złek lekarski „Polka” i „VII”, rącznik zwyczajny, rumianek pospolity „Promyk”, „Złoty Lan” i „Tonia”, dziurawiec zwyczajny, mak lekarski, malwa czarna, naparstnica welnista, pieprzowiec roczny i majerankę ogrodową.

Tu pozwolę na małą dygresję. Na przestrzeni ostatnich dziesięciu lat, wystąpiły poważne trudności z majerankiem, tak przecież poszukiwanym na rynku przez gospodynie domowe. Jest go coraz mniej, choć podniesiono ceny skupu. Sądząc z rozeznania fachowców sytuacja ta z roku na rok będzie się pogarszać. Przyczyna nie została do końca wyjaśniona, bowiem mimo postępu agrotechnicznego plony tego zioła nie ulegają podwyższeniu. Materiał siewny jest sprowadzany z zachodu Europy i niestety nie wytrzymuje naszymi warunków klimatycznych: nie krzewi się, nie rozrasta się i plantacje stają się mało opłacalne. Jak dotąd w Polsce nie ma możliwości otrzymania nasion ze względu na surowość klimatu. Jeszcze w latach sześćdziesiątych „Herbapol” otrzymał 150 ton tego zioła, dziś musi zadowolić się 30 tonami! Jest to przysłowiowa kropka w morzu potrzeb.

Obok upraw kontraktowych nadal stosuje się zbieractwo. Kiedyś zajmowali się tym we wsiach ludzie starsi, dziś o nich jest coraz trudniej. Dlatego też w zbieraniu pomagają młodzież szkolna, harcerstwo. Niestety, mogą zbierać jeden asortyment, np. w sezonie letnim kwiat lipey, liście brzozy, korzeń mniszka, owoc jarzębiny czy dzikiej róży. A kto zajmie się zbieractwem różnorodnym?

Ale zbieractwo, to nie wszystko, naturalnych zasobów starczyłoby nie na długo. „Herbapol” w trosce o naturalne środowisko człowieka dokonuje systematycznie tzw. „podsiawów” niektórych ziół — dziurawca, mydlnicy, tysiącznika, kminku pospolitego. Z reguły wysiewa się w miejscach, gdzie te zioła występują. Rocznie na ten cel przeznaczają się w LZZ „Herbapol” ponad 50 tys. zł. W ten prosty sposób zostaje zachowana równowaga w otaczającej nas florie.

Łódzkie Zakłady Zielarskie „Herbapol” są rozrzucone na terenie kilku województw i mimo, że zaopatrują kraj w poszukiwane lekarstwa, przyprawy i olejki, bez których nie może się obejść ani przemysł farmaceutyczny ani spożywczy czy kosmetyczny, to warunki, w jakich odbywa się praca, pozostawiają wiele do życzenia. Z-ca dyr. d.s. techniczno-produkcyjnych mgr inż. Zofia Ciapa mówiąc o produkcji, wiele czasu poświęciła sprawie lokalii. Sam budynek przy ul. Wólczańskiej 4 A sprawa przynębiająca wrażenie: niefunkcjonalny, bez wystroju architek-

tonicznego, ponury. Przypomina raczej podrzędny magazyn a nie zastudzoną dla polskiego zielarstwa placówkę. Kiedyś była tu ponoć iarbarnia, potem olejarnia, w czasie okupacji stajnia dla koni. Dawna ciasnota i niefunkcjonalność pozostały. Praktycznie nie ma tu magazynów, transport wewnętrzny odbywa się ręcznie (bezdzi się toczy, wozyki widłowe nie mogą się zmieścić). Duże transportowe samochody nie są w stanie zmieścić się w bramie, jest za niska i ładunki trzeba przenosić na plecach. A mimo to pełną parą odbywa się tu produkcja olejków eterycznych redystynowanych (zastosowanie w przemyśle spożywczym, kosmetycznym i farmakologicznym), izoiatów (mentol, menton, tenenun — produkty wyodrębniane z olejków naturalnych), olejki półsyntetyczne i komponowane (zastosowanie głównie w chemii gospodarczej), estry spożywcze (są to półprodukty do produkcji olejków zapachowych), witamina F (produkcja antyimportowa, uruchomiona zaledwie parę lat temu). Dla zobrazowania wielkości produkcji, w tym jakże mało przystosowanym do tego celu budynku, niech świadczy fakt, że roczna produkcja wynosi aż 300 mln zł!

Ale jest nadzieja, że już wkrótce Łódzki „Herbapol” przeniesie się do nowych pomieszczeń. W pobliskim Konstancynie powstaje ogromny kombinat dla przemysłu zielarskiego, a jego oddanie przewidziano na lata osiemdziesiąte.

Drugim zakładem, podległym LZZ „Herbapol” jest zakład w Kutnie, produkujący mieszanki farmaceutyczne oraz herbaty ziołowe (19 mieszanek plus 5 typów herbat). Znany dobrze paczki różnych cholagów, pektosanów i normosanów, a także herbat aromatycznych ziołowych, herbat owocowych czy z dzikiej róży. Od dawna zdobyły uznanie wśród smakoszy. Ostatnio kutnowski zakład zaczyna swoje wyroby pakować w paczuszki do jednorazowego użytku, tzw. herbaty ziołowe fix i mieszanki ziołowe fix. Rocznie produkuje się tu 1000 ton mieszanek i 200 ton herbat!

Produkcją przypraw ziołowych zajmuje się zakład w Kłomnicach. Są to przyprawy jednorodne oraz mieszanki ziół. W odróżnieniu od Winiar nie stosuje się tu żadnych środków pochodzenia chemicznego. Głównym produktem zakładu w Kłomnicach jest pieprz ziołowy. Przyprawy produkowane przez „Herbapol” zdobyły sobie prawo obywatelstwa w naszych domach i są produktem bardzo poszukiwanym. Na Górnym Śląsku, gdzie zielarstwo zawsze było przedkładane nad specyfikami chemicznymi zaparza się zioła jako tzw. „śmięciówki”, co ma zwiększyć ponoc wartość odżywcza i leczniczą ziół. Niestety, pakowanie ziół nadal odbywa się niezawodną i wypróbowaną metodą, czyli ręcznie.

Wyroby Łódzkich Zakładów Zielarskich „Herbapol” trafiają także za granicę. Głównym odbiorcą są: Stany Zjednoczone, RFN, Francja, Szwajcaria, Austria, Kanada i ostatnio Belgia. Z tytułu eksportu kraj otrzymuje rocznie ok. półtora miliona złotych dewizowych.

W Łodzi „Herbapol” posiada własne sklepy branżowe: przy Piotrkowskiej 141, Obrońców Stalingradu 37, Jaracza 1 i Rzgowskiej 33, a ponadto w Piotrkowie, Zduńskiej Woli, Częstochowie, Płocku, a niedługo będzie taki sklep w Sieradzu.

Ważną komórką LZZ jest laboratorium badawcze istniejące tu od dziesięciu lat. Przeprowadzono w nim wiele badań oraz liczne próby użyciowania olejków eterycznych z surowców, z których dotąd w kraju takich olejków nie uzyskiwano. A więc opracowano serię olejków eterycznych z odpadów przyprawowych surowców importowanych: z pieprzu czarnego, ziela angielskiego, kory cynamonu, goździków, imbiru, galiki muszkatołowej. Olejki te charakteryzują się bardzo dobrymi właściwościami organoleptycznymi. Opracowano tu także metody otrzymywania szeregu olejków z surowców krajowych, które znalazły zastosowanie w kosmetyce i perfumerii: olejki z lawendy prawdziwej, bazylii, mięty kędzierzawej, marka szerokolistnego, świerku pospolitego itp. Tu opracowano także metodę otrzymywania preparatu z korzenia amonu, olejków z szyszek chmielu, paczków topoli itd.

Wiadomo, że olejki, nie wszystkie co prawda, szybko tracą swoje właściwości, toteż w laboratorium opracowano metody niwelujące skutki „starzenia się” olejków a także zadbano o to, by przedłużyć czas ich przechowywania.

Wiele czasu i uwagi poświęcono tu olejkom eterycznym naturalnym, półsyntetycznym i syntetycznym oraz ekstraktom przeznaczonym dla przemysłu perfumeryjnego, kosmetycznego i spożywczego.

Laboratorium badawcze stanowi niezwykle ważne ogniwo w procesie funkcjonowania zakładów zielarskich. Od prowadzonych tu prac zależy czy kupowane w sklepie, czy aptece zioła będą trwałe, przyjemne w smaku i skuteczne w leczeniu.

Niniejszy artykuł nie jest oceną LZZ „Herbapol”, jest jedynie formą zasygnalizowania, że w świecie chemii sprzymierzeńcem człowieka zawsze pozostaje natura.

U PRZYJACIÓŁ

MOSKWA. W „Prawdzie” członek korespondent Akademii Nauk ZSRR — prof. D. Gwisziani opublikował artykuł na temat rozwoju rewolucji naukowo-technicznej i jej związków z odroczeniem Prof. D. Gwisziani wychodzi z podstawowego założenia, że rewolucja naukowo-techniczna — w miarę postępu — wywiera coraz większy wpływ na dalszy rozwój ludzkości, otwierając przed nią coraz większe możliwości. Ale też rewolucja naukowo-techniczna rodzi skutki ujemne, nie znane zjawiska, wpływa w sposób nieprzewidywalny na życie ludzkości i rozwój naszej cywilizacji.

Wielu zachodnich teoretyków w różny sposób interpretuje wpływ rewolucji naukowo-technicznej na ludzkość i na rozwój cywilizacji. Jedni widzą rewolucję naukowo-techniczną jako taką siłę, która automatycznie niesie z sobą postęp społeczny, przy pomocy którego rozwiązane zostaną wszystkie podstawowe sprzeczności systemu kapitalistycznego i współczesnego świata. Inni natomiast w rozwoju rewolucji naukowo-technicznej widzą siłę, która przyniesie załamek naszemu światu. Są oni zwolennikami orientacji pesymistycznej. Są na Zachodzie i tacy teoretycy — stwierdza prof. D. Gwisziani — którzy próbują ukazywać realne sytuacje kryzysowe współczesnego kapitalizmu i sadzą, że w wyniku postępującej rewolucji naukowo-technicznej dojdzie do „rewolucji w świadomości człowieka”, przez co osiągnie się humanizację rozwijającej się cywilizacji i przezwycięży się występujące we współczesnym świecie sprzeczności.

Zupełnie inaczej do problemów związanych z dokonującą się rewolucją naukowo-techniczną podchodzi teoretycy opierający swoje prognozy na metodologii marksistowskiej. Podstawą do rozważań na ten temat — stwierdza prof. D. Gwisziani — jest zasada wszechstronności i obiektywności badań. Ta zasada — pisze autor — leży u podstaw dialektycznego potraktowania systemowego podejścia do analizy naukowej złożonego procesu współdziałania rewolucji naukowo-technicznej i społecznej egzystencji ludzi. Racjonalne wykorzystanie zdobyczy rewolucji naukowo-technicznej możliwe jest tylko w warunkach planowo prowadzonej gospodarki. Tylko socjalizm — stwierdza dalej autor — stwarza obiektywne warunki dla wykorzystania osiągnięć nauki i techniki w interesie rozwoju ludzkości. Wszakże rewolucja naukowo-techniczna dokonuje się w świecie, w którym trwa też rewolucja społeczna, istnieją obok siebie i współdziałają ze sobą dwa przeciwstawne systemy społeczne.

W interesie ludzkości oba te systemy społeczne muszą dążyć do utrwalenia zasad pokojowego współistnienia. Naczelnym zadaniem dla całej ludzkości staje się więc walka o odprężenie, o zaprzestanie wyścigu zbrojeń, o przekształcenie pieniędzy z budżetów wojskowych na cele pokojowe, a w pierwszym rzędzie na rozwój rolnictwa, aby można było podjąć skuteczną walkę z głodem panującym w niektórych rejonach świata, w wielu krajach rozwijających się. Prof. D. Gwisziani dochodzi więc do wniosku, że istota walki o odprężenie na świecie jest jednocześnie walka o wykorzystanie osiągnięć nauki i techniki w interesie dalszego pokojowego rozwoju całej ludzkości. Ludzie nauki, całe społeczeństwa powinny włączyć się do walki o to, aby dokonywał się harmonijny rozwój systemu: rewolucja naukowo-techniczna — społeczeństwo — człowiek.

Również w „Prawdzie” ukazał się artykuł A. Paszczenki — przewodniczącego Komitetu Rady Ministrów Ukraińskiej SRR do Spraw Wydawnictw, Poligrafii i Obrótu Książkami. Autor omawia na wstępie osiągnięcia ruchu wydawniczego w ZSRR. Na Ukrainie na przykład w 1977 roku wydano 160 milionów egzemplarzy książek, a drugie tyle przyszło z wydawnictw centralnych. Mimo tego nie wszyscy znajdują te książki, które im są potrzebne.

Wprowadzono zasadę konsultacji planów wydawniczych z odbiorcami, reprezentowanymi przez różne organizacje i na dyskusjach środowiskowych. Skorygowane tak plany zatwierdza Państwowy Komitet Wydawniczy którego Główny Zarząd Planowania i Koordynacji uniemożliwia dublowanie tych samych pozycji przez różne wydawnictwa. Mimo tego takie wydawnictwa jak „Donbas” i „Stroitiel” wydały książki, które ani pod względem treści, ani szaty graficznej nie odpowiadają czytelnikom.

A. Paszczenko stwierdza również, że niwertyczne dostawy papieru i tektury, przestarzały park maszynowy w zakładach poligraficznych uniemożliwiają spełnianie wszystkich oczekiwań ogromnej rzeszy czytelników Ukrainy.

Na mocy uchwały KC KPZR i Rady Ministrów ZSRR ułożono szereg ogólnokrajowych ZSRR korzystają bezpłatnie z podręczników szkolnych. Poligrafia radziecka postawiła sobie za cel wydanie tych podręczników w taki sposób, aby były one estetyczne i trwałe. Cel ten nie został w pełni osiągnięty, gdyż nie pozwolono na to poziom niektórych zakładów poligraficznych.

Zdaniem autora artykułu „Zapotrzebowanie na książki” niezbędna jest szybka modernizacja przemysłu poligraficznego, zwiększenie produkcji nowoczesnych maszyn poligraficznych, jak też poważniejsze i bardziej rzeczowe potraktowanie potrzeb poligrafii przez „Gospplan”.

Revolucja 1969 roku rozpoczęła nowy etap w życiu narodu Libii. Dążenie narodu, na którego czele stoi płk Muammar Kadafi, do urzeczywistnienia postępowych reform społeczno-ekonomicznych otworzyło przed Libijczykami szerokie perspektywy stworzenia niezależnej narodowej ekonomiki, podniesienia materialnego i kulturalnego poziomu życia narodu oraz udziału w kierowaniu państwem. Realizacji tych zadań służą decyzje w sprawie racjonalnego wykorzystania dochodów ze sprzedaży ropy, podstawowego bogactwa republiki.

Na starych mapach geograficznych terytorium Libii przedstawiano zawsze jako pustynię. Czarne punkciki miast i skupisk ludzkich przetrwały wąski pas wybrzeża, gdzie pustynny grunt opadał łagodnie do Morza Śródziemnego. W samym sercu niezmiernie pustyni leżało odosobnione miasto Sebha. Dziś, kiedy rozmowa schodzi na libijską rewolucję, niezmiennie wspomina się o tym mieście. Właśnie tutaj, w Sebha, wśród studiującej młodzieży zrodził się ruch „wolnych zwolenników jedności”. Jego uczestnicy, których natchnął przykład Gemala Abdel Nadera, ze wzruszeniem śledził wyzwoleńczą walkę narodu algierskiego, zachwycali się Fidelem Castro, Lumumbą, który oddał życie za wolność Afryki. Brali udział w studenckich zebraniach i demonstracjach protestu przeciwko reżimowi monarchicznemu, występowali przeciwko rozmieszczaniu zbrojnych baz wojskowych na terytorium swojej ojczyzny.

Już na lotnisku odczuwa się mocny rytm młodej Republiki: każdego dnia przybywa tutaj mnóstwo specjalistów i robotników przeróżnych narodowości. Wszyscy oni wezmą udział w trudnej walce z pustynią. Będą budować fabryki, używać pustynne ziemie, wznosić gmachy instytutu technologicznego, pracować w lecznictwie i usługach. Zapotrzebowanie Libii na wykwalifikowanych robotników i specjalistów jest ogromne. Nie ma chyba takiego drugiego kraju, w którym popyt na ludzi, doświadczenie i wiedzę byłby tak wielki jak tutaj. I jest to zrozumiałe: plany ekonomicznego rozwoju Libii zdumiewają swoim rozmachem, a w liczbie ich pierwszoplanowych zadań jest walka z piaszczystym żywiołem, przekształcenie pustynnych ziem w obszary zdolne do produkcji ropy. „Na każdym hektarze pustyni — zielone plantacje”. To słowa generalnego sekretarza Powszechnego Kongresu Ludowego Ludowo-Socjalistycznej Libijskiej Arabskiej Dżamahiriji — płk Muammara Kadafiego, stały się hasłem trudnej walki z przyrodą, walki wymagającej zarówno ogromnych środków pieniężnych, jak i pełnej mobilizacji sił.

Do rewolucji 1969 roku rolnictwo w kraju praktycznie nie istniało. Tylko na niewielkich polach pod Trypolisem zieleniły zagajniki i sady, należące do włoskich kolonizatorów. Upór i wytrwałość nowego libijskiego kierownictwa wydatnie owocuje. Dziś zielone plantacje wdzierają się w pustynię na wiele kilometrów. Wśród nich spotyka się pola i ogrody zraszane wodą z głębokich studzien, sprzężonych systemem rurociągów.

W centralnych rejonach pustyni, na nizinach, w których wyschły rzeki, tworzy się zbiorniki wodne, a wodę wydobywa się na zewnątrz przy pomocy systemu pomp. Włożono w to wszystko niemało pracy, ale tylko w taki sposób można wywalczyć zieloną wyspę w oceanie pustynnego piasku, stworzyć przemysłową gospodarkę rolną. Zgodnie z planem ekonomicznego rozwoju kraju, w latach 1976—1980, wyasygnowano na te cele miliard 226 milionów libijskich dinarów, co 15-krotnie przewyższa kwoty wydatkowane na ten cel w ciągu ostatnich pięciu lat.

Przewodniczący Rady do Spraw Rozwoju Gospodarki Rolnej Libii realizuje rządowe plany zmierzające do

stworzenia pełnej samowystarczalności kraju w dziedzinie podstawowych produktów rolnych. W tym celu zamierza się stworzyć kilka wielkich ośrodków produkcji ropy, przeprowadzić szerokie prace melioracyjne. Przewiduje się także zapewnienie dostatecznie wysokiego poziomu życia ludności tych ośrodków rolnych, żeby zapobiec jej odpływowi do rejonów nadbrzeżnych. Wszystkie te kroki powinny — zdaniem rządu — sprzyjać rozwiązaniu jeszcze jednego problemu: bardziej równomiernego rozmieszczenia ludności na całym terytorium kraju. Przygotowano już pod uprawę — jak poinformował korespondenta badgadziego dziennika „Tarik al-Szaab” wspomniany już przewodniczący Rady do Spraw Rozwoju Gospodarki Rolnej Libii — około 800 tysięcy hektarów ziem pustynnych, z 2 milionów objętych planem.

Wydawało się, iż brak rąk do pracy będzie przeszkodą nie do pokonania na drodze wprowadzenia tego planu w życie. Rzeczywiście, sami Libijczycy nie mają ani doświadczenia, ani nawet elementarnych nawyków uprawy ziemi, bowiem w kraju przez wiele stuleci panowały tradycje Beduinów — koczowniczych, uważających pracę na roli za zajęcie poniżające. Dlatego też pragnącym osiąść na roli rząd przyznaje ogromne ulgi: przydziela działkę ziemi o powierzchni do 7 hektarów, nasiona, inwentarz, nawozy, ofiarowuje dom mieszkalny i miesięczny zasiłek w wysokości 60 dinarów. Państwo uczy ich także, teoretycznie i praktycznie, nawyków prowadzenia gospodarki rolniczej. W pracach rolnych korzysta się szeroko z pomocy zagranicznych robotników. Niemal episkopich chłopów, rolników z Tunisu i innych arabskich i afrykańskich krajów, pracuje na polach Libii na zasadach najmu. Agrarne stosunki w kraju znajdują się w stadium nabierania pożądanego kształtu. Spółdzielnie rolnicze popierane przez państwo są jeszcze dość słabe, ale właśnie one są powołane do ukształtowania w przyszłości oblicza kraju.

Podczas kolejnej, ósmej rocznicy rewolucji w masowej narodowej demonstracji w Trypolisie, wraz z mieszkańcami stolicy, wzięli udział mieszkańcy pustyni — Beduini, w zwróceniu szczyku na koniach. Za nimi szła kolumna robotników. A przeciw — nie minimalny, miesięczny zarobek ustalono na 60 dinarów. Ale praktycznie robotnicy zarabiają więcej. Zgodnie z ustawą, wszyscy pracownicy zarówno prywatnego sektora, jak i państwowego, biorą udział w zarządzaniu swoimi przedsiębiorstwami. Dziś ludzie pracy zdają sobie sprawę z roli, jaką odgrywają w dziele budownictwa nowej Libii.

Do rewolucji wszystko, poczynając od butelek i odzieży, importowano. Monarchiczny reżim przekształcił kraj w szeroki rynek zbytu towarów konsumpcyjnych zagranicznej produkcji. Miejscowy przemysł ograniczał się do produkcji chałupniczej. Podczas pierwszych pięciu lat po rewolucji na budowę obiektów przemysłowych wydano blisko 400 milionów dinarów, tj. osiemnaście razy więcej niż w ciągu 18 lat rządów monarchicznych. W rozwoju przemysłu libijskiego kierownictwo widzi decydujący czynnik uwolnienia kraju od zagranicznych wpływów, od panoszenia się wielonarodowych monopolów oraz przekształcenia ekonomiki kraju w prawdziwie narodową. Oczywiście na drodze budownictwa nowej Libii trzeba będzie pokonać jeszcze wiele trudności i komplikacji, ale przyspieszony rytm życia kraju i panujący wszędzie pod do budowy nowego życia świadczą, iż Libia zrobiła już na tej drodze ogromny krok do przodu.

O rewolucyjnych przemianach w Libii świadczy fakt, iż niedawno zorganizowała ona w Trypolisie międzynarodową konferencję: „Drogi rozwoju i międzynarodowa współpraca”. Uczestnicy konferencji opowiedzieli się za pokojem, bezpieczeństwem wszystkich narodów, za ustanowieniem równoprawnych stosunków ekonomicznych między wszystkimi krajami świata. Na konferencji członkowie Sekretariatu Generalnego Powszechnego Kongresu Ludowego, mjr S. Dżallud, powiedział m. in.: „W walce przeciwko monopolom rozwijające się kraje nie powinny liczyć na miłość kapitalistycznego Zachodu, który nieraz demonstrował, że nie chce iść na spotkanie żądaniom naszych narodów. Powinniśmy się opierać na swoich przyjaciółach — krajach wspólnoty socjalistycznej oraz wszystkich demokratycznych siłach świata”.

Oprac. JERZY CZECH

KOREA PŁD.

SEUL NOCĄ

Około godz. 11 wieczorem mieszkańcy Seulu zaczynają szturmować taksówki, autobusy, prywatne samochody — każdy rodzaj transportu było tylko szybciej znaleźć się w domu. Panika narasta z każdą minutą. Punktualnie o północy rozpoczyna się godzina polityczna i każdy kogoś ona zastanie na ulicy trafia niezawodnie do więzienia. I tak każdego wieczoru. Gdy wybija północ, żołnierze uzbrojeni w broń automatyczną rozpoczynają patrolowanie miasta. Spóźniony przechodzień nie ma wyboru: jakakolwiek brama, pierwsze lepsze drzwi, aby tylko uciec przed żołnierzami. O 4 rano patrol wracają do koszar i wtedy można iść do domu.

Z jednej strony Seul jest ogromnym placem budowy, na którym tysiące robotników pracuje od świtu do nocy, a z drugiej — wielkimi koszarami, ponieważ mieszkańcy miasta w każdej chwili mogą być powołani pod broń. W kraju kultywuje się nienawiść do komunizmu, społeczne konflikty dotrzymują w ukryciu. Nie ma związków zawodowych, strajkować nie wolno, jak Dżon Chi, głowa panującego reżimu, pozostaje u władzy od 1961 roku. Ten skąpy w słowach, ponury człowiek bez wahań dąży do wyeliminowania bezwzględnie każdy odłam opozycji. Wykorzystując trwały w kraju stan wojenny, jak również jeszcze około 600 innych ustaw i dekretołów, dyktator coraz bardziej ogranicza prawa obywatelskie i wolności, wtrąca do więzień komunistów, przywódców studenckich, przedstawicieli inteligencji, polityków, dziennikarzy — słowem każdego, kto osmieli się krytykować stworzony przez reżim.

Niemal w centrum Seulu znajduje się amerykańska baza wojskowa. Żołnierze i oficerowie żyją tam jak w rodowych dobrach: boiska do gier w golfa, korty tenisowe, własne szkoły, kościoły, ośrodki telewizyjne i nawet własna gazeta codzienna. Właśnie w tej gazecie można przeczytać to, o czym rządzący reżim w Seulu zabrania mówić: np. informacje o rozruchach studenckich w największym uniwersytecie w Seulu, o aresztowaniach wśród przedstawicieli inteligencji czy też działaczy politycznych.

Wszystcy mężczyźni w Korei Płd. przechodzą co roku obowiązkowe 100-godzinne ćwiczenia wojskowe nazywane „trenowaniem rezerwistów”. Każdego miesiąca w jakimś dniu, który wyznacza się zupełnie niespodziewanie, cały kraj żyje w „warunkach wojny”. Na piętnaście minut zamiera życie. Przechodzą przez się w szronach, na ulicach pojawiają się żołnierze, po niebie z bukiem kraja odrzuć samoloty, po mieście rozjeżdżają samochody z czerwonymi krzyżami. Udział ludności miejskiej w tych inscenizacjach wzbuźniających powszechną groźbę jest obowiązkowy. Opieszalski karze się z reguły więzieniem.

CHWIEJE SIĘ TRON SOMOZY

Na przedmieściu lotuży i marca tego roku w mieście Masaisa, w Nikaragui, miały miejsce gwałtowne antydyktatorskie wystąpienia. W starciach z wojskiem zginęło 200 osób cywilnych. Po tej krwawej masakrze sytuacja polityczna w Nikaragui jest napięta. Szereży się narodowy protest przeciwko Somozie, następują starcia uliczne z policją, wybuchają strajki. Przyjeżdżający uderza straszną podstawa i zaoferowanie, w jakich żyje przedstawowa ma ludność. Tymczasem kilka rodzin oploty w ogromne bogactwa, w dużej części ulokowane już za granicą w bezpiecznych miejscach. Narod żyjący pod butem oligarchii, która poniera kilka największych międzynarodowych korporacji, aktywizuje walkę o socjalne i polityczne wyzwolenie. Rodziła Somoza już ponad 40 lat rządzi Nikaragui, wzbudając za wszelką cenę osłonięciem czasu krachu swojej dyktatury. Trudno stawiać jakieś prognozy co do rozwiązania kryzysu. Jedno wszakże jest pewne: chwieje się tron Somozy.

(C.)

NA USTACH WSZYSTKICH NIESPOTYKANY PRZYKŁAD LIBIJSKA WIZYTA

Polska fascynuje się lotem swojego kosmonauty. Przywykliśmy już do precyzji, z jaką wprowadza się na orbity kosmiczne statki, łączy je ze stacją orbitalną i prowadzi naukowe eksperymenty. Jednakże przewijamy inaczej, gdy wszystko to dotyczy Polaka, który uczestniczy w owoch badaniach Nazwisko Mirosława Hermaszewskiego jest na ustach wszystkich!

Warto podkreślić, że stacja orbitalna „Salut — 6” stała się po prostu podniebnym domem. Wystrzelona we wrześniu ub. roku jest celem lotów z Ziemi. Od 16 marca br. nikt w niej nie przebywał. 17 czerwca br. „zamieszkał” radziecki kosmonaut Kowalczuk i Iwanowicz, przed kilkoma dniami „przybyli” do nich Kluk i Hermaszewski. Piszemy o tym, aby umysłowie Czytelnikom, że nie chodzi tutaj o doraźne loty i badania, lecz o starannie przemyślany system, który wypływa z programu „Interkosmos”. Polska uczestniczy w nim od kilku lat, teraz także przez udział swego obywatela w wyprawie kosmicznej.

Wiadomość o tym, że Polak znalazł się w Kosmosie obiegła cały

świat i wszędzie była eksponowana jako jedno z najważniejszych wydarzeń tygodnia. Wzbudziła też refleksje u wielu komentatorów. Uwypuklała oni przede wszystkim dwa fakty: zaawansowania Polski w badaniach kosmicznych i ścisłego współdziałania krajów socjalistycznych z nauką radziecką oraz... nieobecności dotychczas w Kosmosie żadnego z obywateli sojuszników państw Stanów Zjednoczonych.

Lot polskiego kosmonauta zbiegł się z uroczystym posiedzeniem Komitetu ONZ ds. Pokojowego Wykorzystania Przestrzeni Kosmicznej, na którym nasz przedstawiciel mógł nawiązać do owego historycznego dnia Polski fakt. Mógł podkreślić nasze przekonanie, że badania kosmiczne powinny służyć jedynie celom pokojowym i rozwijaniu międzynarodowej współpracy.

Lot polskiego kosmonauta — powiedziano również — wskazuje na istotną rolę państw średniej wielkości w tych badaniach przy wykorzystaniu gotowości mocarstw kosmicznych do współpracy międzynarodowej i podejmowaniu wspólnych działań w tej dziedzinie.

Powiedzieliśmy przed chwilą o współpracy międzynarodowej. Jej przykładem, dotychczas nie spotykany, jest Rada Wzajemnej Pomocy Gospodarczej. Właśnie zakończyła się w Bukareszcie XXXII sesja tej Rady. Zaaprobowano na niej wieloletnie kierunkowe programy współpracy w dziedzinie energii, paliw i surowców, rolnictwa i przemysłu spożywczego oraz przemysłu maszynowego, obliczone na okres od 1990 roku. Podjęto również zagadnienia kontaktów i rozmów w celu opracowania umowy między RWPG i jej krajami członkowskimi z jednej strony, a EWG i jej członkami z drugiej. Raz jeszcze potwierdzono naszą gotowość aktywnego uczestnictwa w międzynarodowym podziale pracy, zgodnie z niezmienną linią pokojowej polityki. Sesja przyjęła także wniosek Socjalistycznej Republiki Wietnamu o przyjęcie jej w poczet stałych członków RWPG.

Przy okazji sesji odnotujemy, że w latach 1973 — 1977 produkcja przemysłowa w krajach członkowskich RWPG wzrosła o 32 proc., podczas, gdy w rozwiniętych krajach kapitalistycznych o 7 proc.

„Stą dynamiczny wzrost gospodarczy — czytamy w komunikacie o sesji — przedstawia przekonująco zalety ustroju społecznego i politycznego państw socjalistycznych oraz efektywność ich współpracy w przeciwieństwie do kryzysowych i

antagonistycznych zjawisk w świecie kapitalistycznym”.

Nie ulega wątpliwości, że postęp w rozwoju gospodarczym naszej wspólnoty i świata w niej współpracujących socjalistycznych partnerów umacniają nasz międzynarodowy prestiż i wpływ na rozwój sytuacji.

Potwierdził to np. w czasie wizyty w Polsce w ub. tygodniu przywódca Libii — Muammar Kadafi, stwierdzając, że mamy wspólne cele, którymi są: walka przeciwko imperializmowi i reakcji oraz sprawa pokoju.

Libia, na terenie której w czasie II wojny światowej żołnierze polscy przelewały swą krew, jest nam bliska nie tylko historycznie. Utrzymujemy dobre stosunki polityczne i ekonomiczne. Libia jest jednym z największych naszych partnerów gospodarczych nie tylko w Afryce, ale również wśród wszystkich krajów rozwijających się. Spełnia też wybitną rolę w ruchu państw niezależnych. Dlatego krajom mamy wiele wspólnych tematów, które podjęte zostały w czasie warszawskich rozmów. Cbustronnie jesteśmy zainteresowani pogłębieniem i rozszerzeniem odprężoną również na inne kontynenty. Musimy — jak powiedział Kadafi — przeciwstawiać się imperialistycznej tezie, że odprężenie jest zjawiskiem o ograniczonym zasięgu i mało skutecznym.

W. SŁAWSKI

SAMOPCZUCIE

1 AMBICJE

Ambicje są bardzo ważne, można powiedzieć, że są motorem postępu i warunkują osiągnięcie dobrych rezultatów. Nie tylko w sporcie. Same ambicje to jednak mało. Potrzebna jest również solidna praca, dobre przygotowanie umiejętności wykorzystywania tego później w decydującym działaniu, a w sporcie na boisku. To wszystko są stare i tak oczywiste prawdy, że aż przykro o nich pisać, a przecież trzeba.

W różnych dziedzinach sportu przeżyliśmy wspaniałe okresy, byliśmy chwaleńcami, podziwiani i nagradzani medalami. Na przykład w lekkoatletyce, kolarstwie piłce nożnej, siatkówce... Dobre wyniki raz osiągnięte, wdrapanie się z mozołem nawet na światowy poziom rozbudza dalsze ambicje. Ale aby je zaspokoić potrzeba jeszcze większej pracy, jeszcze więcej potu i wysiłku nie żalowanego na treningach. Nie powiem, aby sportowcy nie pracowali, ale nie mogą powiedzieć też, aby ta praca przyniosła dobre i spodziewane rezultaty. Wydaje mi się poza tym, że już nie tylko ambicja kibica powinno być pozostawanie w światowej czołówce, ale również ambicja działacza, bo sportowcy chcą, tylko nie zawsze mogą. Nie mogą po prostu dlatego, że w miarę mijających lat traci swoje możliwości i muszą ustępować miejsca młodszym. Nie każdy jest takim fenomenem, jak Irena Szewińska.

Rok temu w Karl-Marx-Stadt nasi lekkoatleci nie odnieśli sukcesu, a teraz w Wilnie potwierdzili tylko, że w polskiej lekkoatletyce nie dzieje się najlepiej. Światowy rekord Grażyny Rabsztyń i Ireny Szewińskiej zwycięstwo w Wilnie w lekkoatletycznym trójmeczku oraz zwycięstwa Ryszarda Podlaska i Bronisława Malinowskiego lekkoatletycznej wiosny nie czynią. Pewnie że cieszą, ale cieszyłyby jeszcze bardziej, gdyby za nimi szły dobre wyniki młodzieży, gdyby wiadomo było, że zastąpiła dla sportu polskiego mistrzowie pozostawiają godny siebie następcom. A z tym nie jest najlepiej.

Po pierwszym dniu trójmeczku polscy lekkoatleci prowadzili nawet z NRD, ale w rezultacie przegraliśmy zarówno z lekkoatletami NRD jak i ZSRR. Podobnie lekkoatleci, a w ekipie NRD startowało wielu młodych lekkoatletów i lekkoatletek. Od lat pisze się o nas i mówi o przykładzie NRD gdzie coraz więcej młodzieży wychodzi na boiska i stadiony, młodzieży zdolnej, dobrze przygotowanej. Wszyscy powtarzamy te przykłady, znamy je na pamięć, ale wniosków nie wyciągamy żadnych. W niektórych dziedzinach lekkoatletyki polskiej zamiast postępu dalej się obserwować regres. Już w Memoriale Janusza Kusocińskiego dano się zaobserwować, że z naszą lekkoatletyką nie jest najlepiej. A tu zbliżają się lekkoatleci z tytułem mistrzostwa Europy, w których chyba nie odegramy większej roli. Zastąpienie zresztą.

W Wilnie na długim dystansie biegł weteran Henryk Piotrowski, biegł chyba tylko po to, aby młodemu pokazać jak biegać należy. W rzucie oszczepem Jacek Kłosinski uzyskał 66 metrów, a zatem okazało się, że nie ma kto rzucać powyżej 70 m. Co z następcami Janusza Sidy? Nie lepiej przedstawia się sytuacja w trójskoku, rzucie młotem, kula...

Ambicji nam nie brakuje jednak. I dobrego samopoczucia. Już kilku trenerów dało temu najwyższy dowód. Pamiętamy wszyscy zapewnienia trenerów kolarstwa, ale nie tylko oni nauczyli się tej nowej metody. Miało być dobrze, z etapu na etap, ale nie było. A kibice kolarstwa dwa razy przeżyli traktują za szczytną uwagę Wysięg Pokoju i mistrzostwa świata. Rozbudzono tu nasze apetyty znakomitymi osiągnięciami i obietnicami, aby polskie kolarstwo nadal utrzymywało się na tym poziomie. Czy chemy rzeczy niemożliwych? Nie. Ale tak długo, jak ostatecznie naszego kolarstwa będzie Ryszard Szurkowski, tak długo będzie to postulat mało realny. Wszystkie inne wysięgi — gdzie nasi kolarze odnoszą też wcale niemałe sukcesy — kibice nie bez powodu zresztą, traktują jako mniej ważne, jako przyzwyczajenie do tych dwóch decydujących i dających mu pewność, że w ośmiokrotnie wszystkim idzie dobrze. A właśnie Wysięg Pokoju — i to nie tylko w tym roku — pokazuje, że coś tu nie tak.

Dobre samopoczucie trenerów i ambicje zawodników, to stanowczo jeszcze za mało, aby odnieść sukcesy. Obok rzetelnej i owocnej pracy w czasie przygotowań potrzebna jest też rzetelna analiza sytuacji w niektórych dziedzinach sportu. Tymczasem — jak sygnalizuje Kazimierz Nowak w „Trybunie Ludu” — Polski Związek Kolarski opracował analizę wyników XXXI Wysięgu Pokoju, ale — jak pisze K Nowak — zrobiono to „w biułych rekawkach”, aby nikogo nie urazić. Z takich ocen nie wynika i takie oceny do niczego nie prowadzą. Po takiej „politce” ukłonięciu i komplementach oraz dżentelmeńskiej krytyce można spodziewać się coraz gorszych wniosków. I nie tylko w kolarstwie.

BOGDA MADEJ

KRZYSZTOF SKUDZIŃSKI

OGŁOSZENIE W SPRAWIE DWÓCH DO ROZBIÓRKI DOMU

Lisek przy ustępie dłutem odrywa listwy. Na chwilę przerywa pracę, po czym podważa ustęp dźwignią uczy-nioną z belki. Kibel się przewraca, a z niego wyskakuje Bambino podciągający spodnie.

— Więc Lisek stoi z boku i się zaśmiewa. Wtedy Bambino, wściekły, zbliża się, ale on zaczyna uciekać. Bambino dopada Lisę i zaczyna dusić, obejmując rękoma.

— Bambino, puść — Lisek traci oddech — jak mnie udusisz, to pójdiesz do pierdła.

Po zwolnieniu uścisku Lisek, oddychając wolno, dochodzi do siebie. Kiedy już czuje się dobrze, znów nasza go fala smiechu. Bambino, którego opuściła wściekłość, zaraza się od niego tym sztubackim smiechem.

Młody Blaszczyk obmywa samochód wodą z gumowego węża. Drugą ręką pociera samochód szcztką. Magda stoi obok i, zmęczona, wraca do siebie po biegu.

— Pani Magdo, niech mi pani trochę pomoże — wręcza wąż dziewczynie — niech pani polewa, a ja będę obmywał... ja mieszkam w Toruniu... na Osiedlu Młodych... była tam pani kiedyś?... jak pani do mnie wpadnie, pójdziemy na dancing, lubi pani tańczyć?...

— Tak, lubię... lubię chodzić do restauracji... mam brata w budowlance, który świetnie tańczy... zapisałam się kiedyś do ogniska na tańce, ale oni tam ucą głównie tańców przedwojennych... i jeszcze trzeba było płacić...

Do Magdy wolno zbliża się pies wilczur. Dziewczyna truchleje. Blaszczyk się uśmiecha.

— Niech pani się nie boi... od pięciu lat nie szczeka i nie gryzie...

Pies obwąchuje Magdę.

— Wygląda tak groźnie.

— Ja asystuję na politechnice, ale nie stronię od rozrywek... odpowiada mi koncepcja człowieka renesansowego, chociaż to dzisiaj trudne... — przestaje wycierać samochód. Z górnej kieszeni marynarki wyjmuje mały pakiet. Odwija papier. Bierze do ręki jeden z małych kartoników i wręcza go dziewczynie. Magda bierze do ręki, czyta:

Krzysztof Teodor Blaszczyk
magister — inżynier
Toruń, ul. Polna 9 m. 16
tel. 903-51 Pol. Toruńska

— Dzisiaj muszę już jechać, ale będzie mi miło, jeśli pani do mnie wpadnie w Toruniu...

Magda przeczytała, oddaje wizytówkę.

— Może pani zatrzymać, mam więccej.

Przy ustępie chwila odpoczynku. Lisek odrzuca deski i mówi w kierunku Bambino:

— Daj zająrać.

— Nie rozumiem.

— Nie chraź! Dawaj fajkę.

Bambino częstuje go sportem, narzeka.

— Mala to była zaliczka.

— Na papierosy starczy do końca miesiąca. Ale braknie na „patyka”.

— Lisek, co zrobisz z pieniędzmi po wypłacie?...

— O tym dopiero pomyślę.

Obok starej chaty stoi babka — matka Blaszczyka. Obserwuje ich, są ma będąc niezauważoną.

— Bo ja wiem, co zrobię... Wiesz,

Lisek, pojedzie nad morze i wynajmę sobie pokój w hotelu.

— I do pokoju dziewczynkę...

— Nieważne... nie o to biegnę...

Lisek bawi się nożem, rzucając go z bliskiej odległości w belkę. Nóż za każdym razem wbija się w drewno. Bambino ciągnie dalej:

— Nie potrzeba dziewczynki... wiesz, jak w takim hotelu sobie mieszka, to kobieta ściele po tobie łóżko... a jak wychodzisz, to portier ci się kłania... to musi być frajda... — Myślisz się Bambino... jesteś w błędzie... portier ci się nie ukłoni, bo nie masz wyglądu...

— Jak to: nie mam wyglądu... mam wyglądu... każdy ma wyglądu...

— Myślisz się... nie masz dzinsów, ani nie masz nawet marynarki skórkowej... a poza tym: Bambino, i y starczy na ciebie spojrzeć i widać kim ty jesteś...

— Kim jestem?

— Niczym... niczym... tak jak i ja zresztą...

Blaszczykowa na podwórku stoi przy „Flacie”. Ponad odkręconą szybą wystaje głowa jej syna. Tak wygląda scena pożegnania.

— Najpierw, Krzysiu, zjedz kotleci, bo one najszybciej mogą się zepsuć, potem jedź kuczkami, jajką trzymaj w lodówce. Kotlecików ci starczy na cztery dni, ale pamiętaj, żebyś je jadł najpierw... jednego kurczaka możesz przegotować, to będzie miał rosół, co jeszcze... co jeszcze... o coś jeszcze miałam cię za pytać...

— Będę pamiętał, mam, ale naprawdę za dużo tego wszystkiego, ja to wszystko na miejscu mogę dostać...

Wolnym, starczym krokiem zbliża się do nich babka i od pewnego momentu zaczyna być świadkiem rozmowy.

— Krzysiu — Blaszczykowa pochyla się w stronę syna — co myślisz o tych dwóch z ogłoszenia?...

— A co mam myśleć, mam?

— Czy oni nie są groźni?...

— A dlaczego?

— Bo w ten sam dzień była amnestia...

— Co mama opowiada...

— Oni tam nożem ciskają — wtrąca babka.

Obie kobiety ruszają przez podwórko, aby wyrzucić z węgla budynku gospodarczego. Ale Bambino i Lisek zajęci są już pracą.

Przed kolorowym telewizorem wszyscy śledzą rozwój kryminalnego śledztwa — „Kobra”. Jak zwykle u Blaszczyków zaczyna się toczyć dyskusja.

— To chyba ten z brodą... — podejrzewa Blaszczyk.

— Ten z brodą nie — zaprzecza Blaszczykowa — podobny do Krzysia.

— Ten z brodą miał najwięcej powodów, żeby tamtego...

— A ja myślę, że ten łysy — przy swoim obstaje Blaszczykowa.

— Dlaczego?

— Tak niesympatycznie wygląda, to musi być morderca...

— To mogła zrobić ta starsza kobieta — wtrąca Bambino.

— Dlaczego?

— Bo ona najbardziej płacze się w zeznaniach.

Blaszczyk kręci głową.

— A pani, jak myśli, pani Magdo?...

— Słucham?... ja nie uważałam...

Do rozmowy włącza się Lisek:

— A ja myślę, że zabił ten obcy, co przyleciał samolotem:

Oponuje Blaszczyk:

— Ja się z tym nie zgadzam. Na niego nie pada nawet cień podejrzenia.

— To właśnie dlatego...

— Dlaczego?

— Dlatego, żeby nikt nie zgadł...

— Uważaj Stefan, zaraz go zabiją...

— Widzę, przecież uważam...

Pisk przerażonych kobiet, na ekranie ginie następna ofiara. Okazuje się, że Lisek miał rację tego wieczora.

W nocy Blaszczykowa znów nie może zasnąć. Siada na łóżko, wstaje, obchodzi łóżko, wchodzi pod koldrę z drugiej strony łączy, z otwartymi oczami.

— Stefan... ty jak zwykle... nic cię nie obchodzi...

— Nie śpię... co znów masz na myśli?...

— Nie zauważyłeś dzisiaj nic podejrzanego?...

— Nie zauważyłem...

— Dwie rzeczy... oni obok ustępu ćwiczyli się nożem, po pierwsze, a po drugie powinieneś wiedzieć...

— Nie wiem... byłem świadkiem?...

— Widziałeś...

— Nie wiem.

— Kto odgadł bandziora?... co ty na to?...

— Bo ja wiem...

— Ty nigdy nic nie wiesz...

— On odgadł pewnie przypadekowo...

— Dla mnie to nie przypadek... odgadł, bo zna się na rzeczy... rozumiesz Stefan?...

— Bo ja wiem?...

— Nie, „bo ja wiem”, tylko to jest jasne... teraz już jestem pewna, wszystkiego po nich można się spodziewać...

Dochodzi jakby skrzyp podłogi z korytarza.

— Słyszysz, Stefan?...

— Słyszę.

Oboje podnoszą się z łóżka, skradają się do drzwi, przy których w skupieniu nasłuchują. Blaszczyk zbliża dłoń do klamki, Blaszczykowa łapie go za rękę, szeptem rozmawiają — Mówiłam?...

— Po co oni tam chodzą?...

— Kto może wiedzieć, zawsze mówiłam, że to nie dobre...

— Pewnie czegoś szukają.

W tym momencie za drzwiami rozlega się głośny hałas. Ktoś spada ze schodów. Blaszczyk chwytając za klamkę, żona przytrzymuje go. Blaszczyk biegnie do pokoju, chwytając krzesło. Wbiegają do przedpokoju. Zbiegają po schodach.

To babka spada ze schodów z miską. Ledwie podnosi się na nogi, cała obolala.

Nazajutrz rano narady przy rozbiórce chałupy.

— Jak się do tego zabrac? — zastanawia się Bambino.

— Od dachu — twierdzi Lisek.

— Tak, od dachu — popiera go gospodarz. — Trzeba najpierw zerwać papę, ale bez niszczenia. Może się na co przydać. Potem trzeba rozmontować belki stropu, a potem pomysłmy.

— Co zrobić z belkami?

— Rozebrać i poukładać. Na dzisiaj starczy roboty.

W nowym domu, w kuchni, Blaszczykowa i Magda opatrują babkę.

— Pani Magdo, pani przytrzyma tutaj bandaż. Mam, po co mama tam w nocy laza?...

— Szukałam miski, chciałam wełnę uprać.

— W dzień nie można było?

— Babka pojełkuje z cicha.

— A teraz mama widzi...

— W nocy spać się nie chce, trzeba było coś zrobić — z jękiem tłumaczy się babka.

— Czy aby nie złamana? — niepokoi się Magda.

Magda i Blaszczykowa obmacują nogę staruszki, która jęczy z ostentacją.

— Wydaje mi się, że nie, boby nie mogła mama stanąć.

— Przecież nie mogę stanąć...

— Co mama, przecież mama stała.

— Blaszczykowa zwraca się do Magdy: — Pani Magdo, pani poszuka listewek, na wszelki wypadek można nogę uszytnić... Mam, chce mama doktora?...

— Na co mi doktor, przecież nie mi się nie stało...

Magda wychodzi z kuchni. Babka stęka.

— To czego mama jęczy?

— Pojęcieć mi wzbraniaisz? Noga mnie boli przecież. To wszystko przez tych, co na gorze... Jeszcze zobaczycie, co przez nich wyniknie.

Lisek i Bambino zdzierają papę z dachu. Bambino pracuje na krawędzi załamania szczytowego.

— Uważaj, bo spadniesz — słyszy ostrzeżenie Lisę.

— Stąd można zlecieć i nie się nie stanie.

— Lepiej zacznij z innego miejsca.

— Wszystko jedno.

Magda przechodzi przez podwórko, wchodzi do budynku gospodarczego. Bambino:

— Widziałeś ją?...

— Nie (iluz tak, bo spadniesz,

— Masz tam zdzierak?...

— Nie mam.

— Pojść poszukać.

Bambino zeszkakuje z dachu.

W budynku gospodarczym Magda szuka listewek kłobi to, jak wszystko, w leniwy sposób. Wymuje paczkę papierosów, z niej papierosa.

Przenadza się po budynku gospodarczym zaglądając tu i tam. Obok niej pojawia się Bambino.

— Przepraszam, czy można?...

— Proszę bardzo.

— Antoni Stasiak jestem.

— Magda.

— Z Grudziądza.

— Nie z Sieradza.

— Ale ja z Grudziądza.

Magda częstuje Bambino zagranicznym papierosem.

— Zapali pan?...

— Takiego? — Bambino z uwagą patrzy na pudełko. — Z chęcią.

— Częstuje się, wkłada do ust papierosa. Magda śmieje się, on patrzy na nią bez zrozumienia.

— To tylko paczka zagraniczna... szukam listewek dla starej... mówi, że nogę złamała.

— A ja szukam zdzieraka.

Magda spogląda na drabinę, która prowadzi do rupieciarń pod dachem. Za chwilę spogląda do góry, mówi:

— Pewnie by tam było...

— Poszukam.

Bambino wchodzi na drabinę. Pierwszy szczebel pęka.

— Zmurszała...

— Nie szkodzi, niech pani potrzyma papierosa...

Wchodzi ostrożnie, sprawdzając nogą szczebel po szczeblu. Kiedy jest już na gorze, struwa stamąd wystraszona kura.

— To czego pani potrzeba?...

Magda, na dole, hucuje popiół na papierosie Bambino.

— Listewki...

— Ale tu słabo widać...

— To niech pan poszuka...

— Nie widać...

— A nie ma?...

— Nie wiem, bo nie widać...

— To niech pan zapalka poświeci...

Magda wpatruje się w wyhodowany słupek popiołu.

— Teraz lepiej...

— Słucham?...

— Teraz widać...

Bambino schodzi po drabinie, wręcza Magdzie listewki.

— Czy o to chodziło?...

— Pewnie tak.

Oddaje mu papierosa, starając się pielczolowicie, aby popiół nie zleciał. Kiedy Bambino chwytając papierosa, słupek popiołu upada.

— Przepraszam.

— Nie ma za co — z uśmiechem odpowiada Magda.

— Teraz muszę zdzieraka poszukać...

— Panie Tolk...
— Słucham...
— Muszę spruć sweter i wełnę nawinać, bo stara uprała... ale nie ma mi kto potrzymać...
— To ja mogę potrzymać...
— Moge na pana liczyć?... tylko z dyskrecją...
— Pewno...
— Wie pan... — dodaje szeptem, zbliżwszy się do niego. Po chwili wchodzi z budynku gospodarczego. Bambino stoi chwilę przy drabinie, myśli, po czym wspina się na nią. Za chwilę pęka jakiś szczebel, Bambino spada.

(c.d.n.)

zdarzenia i zwierzenia

Ponieważ weszliśmy w sezon ogórkowy serwujemy czytelnikom „sałatkę z ogórków”. Ogórki, jak wiadomo, są warzywem smacznym, w dziewięćdziesięciu procentach składają się z wody. Dlatego też niniejszą sałatkę doprawię sporą dawką pieprzu, soli i octu. A także gorczycy — przemasz — gorczycy.

A więc zaczynamy od włączenia radia. Jedenastego czerwca słucham audycji z Warszawy. Oto piosenkarz-amator tak mówi o „Liście jeńca” — pięknym i znanym wierszu K. I. Gałczyńskiego: „Wiersz ten napisał Maklakiewicz w obozie i wysłał do swojej żony. Potem Maklakiewicz napisał do tego wiersza muzykę...”

Ta kompletna bzdura nie została sprostowana przez prowadzącego audycję. Znanego kom-

SALATKA Z OGÓRKÓW

pozytora (który istotnie napisał muzykę do tego wiersza) ułożono z wybitnym poetą, odbierając mu autorstwo jednego z bardziej popularnych utworów.

Coś jest nie tak z kulturalną edukacją społeczeństwa, skoro piosenkarz nie wie, co śpiewa, a autor audycji nie wie, co puszcza w eter.

Ale jak ma być? Niedawno prasa podała, że Węgrzy wydają 81 milionów książek rocznie, co daje 8,2 książki na jednego Węgra. Jednocześnie prasa informuje, że przeciętny Polak wydaje na książki... pięć złotych miesięcznie. Zważywszy ceny, daje to przeciętnie 1-2 książki rocznie.

Pasuje mi do tego następna informacja. Oto „Orbis” zorganizował wycieczkę do Brazylii. Cena dwutygodniowego wояażu — 115 tysięcy złotych, „Orbis” dysponował kilkudziesięcioma miejscami — chętnych było parę tysięcy.

I jeszcze jedna ciekawostka. Tym razem z innej parafii. W Gdyni nie ma ulicy inż. Eugeniusza Kwiatkowskiego. Starsi ludzie pamiętają, że Eugeniusz

Kwiatkowski był — jakby nie patrzeć — twórcą tego miasta. Młodzi ludzie natomiast mogliby zajrzeć choćby do Wielkiej Encyklopedii Powszechnej, gdzie jest napisane o Kwiatkowskim: „realizator rozbudowy portu w Gdyni i floty handlowej”. Do czasów Kwiatkowskiego Gdynia była wioską rybacką z małą rybacką przystanią. Znowu ktoś o czymś zapomniał i na usta się cisną gorzkie słowa Cypriana Godeckiego, który pisał: „Mogę bowiem rachować na pomocy w kraju, gdzie pamięć za zasługi nie jest wezwyczajem?”

Skoro jesteśmy przy poezji — parę ciekawostek o „Poezji” — mieszczyku, którego profil określa sam tytuł. W roku 1977 ukazało się w Polsce ponad pięćdziesiąt debiutów poetyckich. Zaden z nich nie został omówiony w „Poezji”. W roku ubiegłym odbyło się parę ważnych imprez poetyckich — w „Poezji” nie napisano o nich ani jednego słowa. Wierszy żyjących poetów też się drukuje niewiele.

Co zatem jest w „Poezji”? Ano „mamy pismo, w którym infor-

macje o tym, co dzieje się w środowiskach literackich kraju, tych wielkich, małych i tych zupełnie maleńkich, kształtujących się dopiero — zastępują komunikaty o tym, kto i jak obraził jego redaktora”.

Na dobro „Poezji” można zapisać tylko jedno. Powyższe zarzuty i cytaty znalazły się w artykule Andrzeja K. Waśkiewicza, opublikowanym na łamach... „Poezji” właśnie.

Smakowała sałatkę z ogórków? Przypuszczam, że nie bardzo. No cóż, ogórki w nadmiarze mogą spowodować gastryczne sensacje. Zwalczając takie ogórki, które zbyt obficie podsypane są sztucznym nawozem. Taki ogórek nie śpiewa, tylko powoduje zgagę.

Ale czy to wina ogórka? Pisał trzydzieści lat temu Galczyński:

„Jeśli ogórek nie śpiewa i to o żadnej porze, to widać z woli nieba prawdopodobnie nie może”.

WIDOK

GALERIA PISARZY ŁÓDZKICH JERZY WILMAŃSKI



Co słysząc? Powiem prosto
w oczy.
Widok cudny. Reszta w cukrze
się toczy.

Rys.: Stanisław Ibis Gratkowski
Tekst: Mieczysław Michał Szargan

lewym okiem

Na łamach prasy tygodniowej nie ustaje dyskusja nad zapowiadaną reformą programów szkolnych. Dyskusja przybiera już formę „burzy mózgów”, czyli takiej szybkiej, improwizowanej wymiany zdań z udziałem fachowców i zupełnie dyletantów, w czasie której a nuż padnie jakiś znakomity pomysł.

Skoro tak, to ja też — chociaż nie fachowiec — mogę się odważyć na wtrącenie swoich trzech groszy, jako że niektóre głosy speców, powołujących się z dumą na wiele lat praktyki pedagogicznej, wydają się balansować na ostatnim krawędzie zdrowego rozsądku. Wybaczyć tę uwagę ale przecież czytamy i takie zdania („Kultura” z 18. VI, br.): „Skonczymy nareszcie z rocznymi promocjami. Niech roczne świadectwo szkolne stwierdza tylko, że uczeń w takim to, a takim roku uczęszczał do tej to klasy, w takiej to szkole i otrzymał za postępy w nauce z poszcze-

SKOŃCZMY NARESZCIE...

gólnych przedmiotów nauczania takie to oceny i ma prawo bez względu na oceny, bez względu na ilość dwój uczęszczać w przyszłym roku do klasy następnej”.

Zapamiętajmy: wystarczy, że uczęszczał, czyli podpisywał listę obecności, bez względu na to, jak go oceniano i ile otrzymał dwój. A jeszcze czytamy i to: „Teza, że wraz z wyeliminowaniem stopni z procesu uczenia zabraknie uczniom bodźców do nauki jest błędna. Pomimo niestosowania stopni dzieci z Summerhill uczą się nie gorzej od innych — między innymi dlatego, że nie są ciągle straszone dwójami”.

Zapamiętajmy: nie należy straszyć dziecka dwójami, a przeciwnie — trzeba wyeliminować w ogóle jakiejkolwiek stopnie. Bo wreszcie, co komu po stopniach, skoro na przykład — cytujemy: „trójka jest najbardziej niesprawiedliwą oceną szkolną, bo wyraża ona nieraz: 2, 2+, 3-, 3+, 3+. Cóż po stopniach, skoro ocena 4+ lub 5, oznacza często tylko, dobrze ułożonego pracusia, a np. Zeromski był uważany za złego ucznia i miał oceny niedostateczne...”

A teraz podsumujmy to cośmy z powyższych cytatów zapamiętał.

Nie należy stawiać dzieciom stopni, bo dzieci tego bardzo nie lubią. Ale dorośli też nie lubią i chodzą wiecznie markotni i sfrustrowani. Ze ten awansował a ten nie, że nie dali podwyżki, premii, że pan dyrektor nie wspominał. Należałoby więc zlikwidować także ordery, stopnie służbowe, awanse i podwyżki — to są przecież oceny, to są stopnie stawiane w dorosłym życiu, do którego dziecko ma się w szkole przygotować. Jeśli mamy zaniechać stopni, to nie ma sensu dziecka o cokolwiek pytać, bo po co? Po co sprawdzać jego wiadomości, jeśli się wyników tego sprawdzania nigdy nigdzie nie zamierza dyskutować!

Nieszczaście z tym Zeromskim, Mał same dwójki, a został świetnym pisarzem. Czy stąd wniosek, że nikt się ongiś nie powinien był interesować tym, czy mały Zeromski przebrnął regule trzech i nauczył się gramatyki? Ze wystarczyłoby po prostu świadectwo uczęszczenia „w takim to a takim roku do tej to klasy, w takiej to szkole”? Panowie, mo-

gę natychmiast wylczyć szereg bardzo wybitnych artystów, odkrywców marszałków i mężów stanu, którzy nigdy do żadnej szkoły nie uczęszczałi. Więc może i z takiego świadectwa będzie zrygnować, nie straszyć biednych dzieci koniecznością wstawiania rano, chodzenia do nudnej szkoły słuchania — choćby i kalkowiek biernego — nudnych wykładów? Po co to wszystko, skoro Villon i Faulkner nie chodzili do szkół, a tacy byli sławni i mądzy?

Zrezygnujmy ze świadectw, że pan Iks uczęszczał dziesięć lat temu do klasy siódmej, a w rok później do ósmej. To nie o panu Iks nie mówię. Przyjmując go do pracy, powierząc mu jakiegokolwiek zadanie, stykając się z nim na jakimkolwiek gruncie i tak nie będziemy o nim wiedzieli absolutnie nic poza tym, że skończył tyle, a tyle lat. Tylko, czy wystawianie świadectwa urodzenia nie ogranicza dziecięcej swobody? Czy musimy dzieciaka straszyć mijającym czasem? Czy dzieci w Summerhill wiedzą, ile mają lat?

ĆWIEK

propozycje

W lutym 1978 roku w Waszyngtonie odbywała się sesja Amerykańskiego Towarzystwa na Rzecz Postępu Nauki. W sesji brało udział 5 500 badaczy i wykładowców. Jest to towarzystwo wielce szacowane, dostojne. Zdąrza się na forum AAAS — bo tak brzmi skrót od angielskiej nazwy tego towarzystwa — zarządza dyskusje, nawet kłótnia, ale demonstracji przeciw komuś, sturczania go, niemal bicia oraz obławiania wodą, tego jeszcze w AAAS nie było. A zdarzyło się to właśnie w lutym 1978 roku.

Ofiarą tej demonstracji padł skromny profesor Edward O. Wilson z Muzeum Zoologii Porównawczej Uniwersytetu Harvarda w Bostonie. Gdyby ktoś ujrzał tego niepozornego człowieka w wielkich okularach, z pasją zajmującego się mrówkami, nigdy nie śmiałyby nawet przypuszczać, że padnie on ofiarą naukowej demonstracji, która była wyrazem protestu przeciw postępowaniu, jakie głosił prof. E. O. Wilson. Protestem — przynajmniej — cokolwiek gwałtownym.

Jakież to poglądy prof. E. O. Wilsona skłoniły jego przeciwników do sturczania go i obławiania wodą. W naukowej dyskusji są to argumenty mało używane, które raczej wskazywałyby że ich „użytkownikom” brakuje rzeczywistych argumentów. Można byłoby więc sądzić,

WSZECHMOCNY GEN

że prof. E. O. Wilson wystąpił z rewolucyjną tezą, która budzi sprzeciw, ale przeciw której nie można wytoczyć racjonalnego, naukowo uzasadnionego sprzeciwu.

Profesor E. O. Wilson opublikował niedawno książkę o objętości 700 stron, której dał tytuł: „Socjobiologia: the new synthesis”. W książce tej wyważa między innymi, co to jest „socjobiologia”. Piszem: „Socjobiologia to systematyczne badanie biologicznych uwarunkowań form zachowań wszystkich organizmów żywych. Jest to gałąź badań, a nie jakaś specyficzna hipoteza”.

Wydawcy pisma „Science for The People” rozdali naukowcom przybyłym na sesję AAAS ulotkę, w której poglądy prof. E. O. Wilsona nazwali „teoria seksistowska i rasistowska”. Organ Komunistycznej Partii „People's Tribune” napisał, że „socjobiologia jest teoria faszystowska”. Ruch wyzwolenia kobiet oskarżył E. O. Wilsona o antyfeminizm.

Profesor E. O. Wilson twierdzi bowiem, że wszystko, co robimy, całe nasze postępowanie, zarówno ludzi, jak i każdej żywej istoty na Ziemi, jest determinowane przez geny. W ogóle całe postępowanie każdej żywej istoty sprowadza się do ochrony genów i jak najkorzystniejszego ich przekazania potomstwu. Ślad na przykład egoizmu nie jest obcy ani ludziom, ani zwierzętom. Wynika on również z tej przemożnej tendencji, która zmusza każdego osobnika płci

męskiej do przekazania potomstwu jak największej ilości genów oraz płci żeńskiej do stworzenia dla tego — jak nadszczętniej — warunków. Altruizm — zdaniem E. O. Wilsona i jego zwolenników, — bo ma ich już spora gromada — nie jest niczym innym, jak swego rodzaju „egoizmem gatunku”.

Posługując się w obronie innych jednostek jest zazwyczaj słabsza, stwarza więc tym warunki dla przetrwania silniejszej. Wojna — twierdzą socjobiolodzy — jest zakodowana w genach. Człowiek ma naturalne skłonności do wojaczki. Podobnie religia. Zdaniem E. O. Wilsona „religia, za swa fasadą wiary, stawiają sobie cele socjobiologiczne”. Zwolennicy socjobiologii uważają, że przedziś — czy później — socjologia zdominuje całą naukę, a przede wszystkim nauki polityczne, prawo, psychologię, ekonomię i antropologię. „Przyrodnicy i humaniści — napisał E. O. Wilson — powinni zastanowić się, czy nie nadszedł czas, żeby na jakiś okres odebrać etykę z rąk filozofów i przekazać ją biologom”. Owsem zastanowili się i obalili twórcę socjobiologii wodą. Dobrze, że pod ręką nie mieli innych płynów.

Nie wynika z tego wcale, że nie ma ludzi, którzy spokojnie w naukowy sposób przeciwstawiali się nowemu objawieniu amerykańskiej nauki. Być może w socjobiologii, kiedy opadną emocje i przeminie moda, znajda się jakieś pozytywne elementy, które przyjmą inne dzied-

ny badań, a może i nie. Obecnie w każdym razie krytycy zwracają uwagę, że bezkrytyczne przyjmowanie socjobiologicznych stwierdzeń może doprowadzić do totalnego usprawiedliwienia natury ludzkiej, która musi czynić tak a nie inaczej, a to „tak” może stać w sprzeczności z interesem społecznym. Socjobiologia w zasadzie neguje wszelkie wysiłki pedagogiki, prawa, etyki. Zwolennicy tej „nowej nauki” większą wagę przykładają do słowa „biologia” niż do „socio”. A poza tym — krytycy zwracają uwagę, że w bogatym rozwoju cywilizacji na naszej planecie występowały fakty, których socjobiologia nie bierze pod uwagę, pomija milczeniem, a które przeczą generalnym założeniom tej „nowej nauki”. Były na przykład w historii ludzkości takie społeczeństwa, które nie znaly wojen. Wprowadzane dziś z różnych powodów dobrowolne ograniczanie urodzin oraz świadome macierzyństwo, też w gruncie rzeczy stoi w sprzeczności z teząmi socjobiologii, a przecież jest faktem. I na koniec poddaję w wątpliwość, czy w ogóle można szukać wspólnego mianownika dla altruizmu człowieka i mrówki?

Wszystwo to prawda, ale żeby zaraz obławiać człowieka wodą i poszturchać? E, nie jest to zabawa godna gentelmanów!

MARCIN RODAK



100
POMYSŁÓW...

Może i to nie najlepsza pora proponować czytelnikom jakiejś renowacje w mieszkaniu, ale część z nas poświęca przecież kawalek urlopu właśnie na prace domowe. Majsterkowiczom przede wszystkim polecamy więc książeczkę Alicji Szymańskiej „100 pomysłów dla domu”, która ukazała się w serii „Rodzina i dom” Instytutu Wydawniczego CRZZ. Pomysły, które proponuje są sensowne i nieustannie fragmenty naszych mieszkań, gdzie żaden mebel z przemysłu nie będzie pasował. Są to więc pomysły na drobniaki, ale takie, które pomagają wykorzystać nawet najmniejszą wolną przestrzeń.

W książeczce „100 pomysłów...” znajdziemy projekty, ich dokładny opis oraz sugestie, co do potrzebnych materiałów. Majsterkowicze o wyższych kwalifikacjach nie będą mieli z realizacją pomysłu żadnych trudności. Ale co ważniejsze, niektóre projekty mogą zrealizować również i ci, którzy w tej dziedzinie stawiają pierwsze kroki. I jeszcze jedno. Wstępnie Alicja Szymańska zastrzega, że podstawowym celem tej publikacji jest inspiracja do dalszych poszukiwań i własnych rozwiązań. Rzeczywiście. Przeglądając poszczególne projekty, niejednemu z czytelników westchnie: takie proste, a nie przyszło iakoś do głowy. I zupełnie inaczej popatry na swoje, wydawałoby się już znakomite, urządzone mieszkanie. Zachęcamy więc i do lektury i do realizacji przynajmniej jednego pomysłu. Naprawdę warto!

Alicja Szymańska — „100 pomysłów dla domu”. Instytut Wydawniczy CRZZ, Warszawa 1978, str. 131, cena zł 23.—

EKSPRES REPORTERÓW

O tym, że Krajowa Agencja Wydawnicza swoim „Ekspresem reporterów” bezbłędnie trafiła w gusty i zapotrzebowanie czytelników, przekonawać nikogo nie trzeba. Kolejne tomiki zawierające po trzy „sensacyjne, krwiste, aktualne, dociekliwe, kryminalne, wazkie, przebojowe teksty najlepszych polskich reporterów” szybko znikają i z kłopotem i z kiosków „Ruchu”. Fakt ten jednoznacznie świadczy o rosnącym stale zapotrzebowaniu na tematykę współczesną, pod warunkiem jednakże, że będzie to tematyka doskonale podana.

Dotarliśmy właśnie do nas dwa najnowsze zeszyty „Ekspresu”. W pierwszym znalazły się następujące reportaże: Ewy Szymańskiej i Barbary Lopuskiej, wypróbowanej spółki z „Kultury” — „Wspaniali z kierownicy”, Janusza Wilka — „Białoleża — Reporter szmalcariuszy” oraz Józefa Ciskiego — „Po prostu morderca”. W drugim: doskonałe „znanego Czytelnikom „Odgłosów” Andrzeja Makowieckiego — „Prawdziwe polskie drogi”, Małgorzaty Szejnert — „Krańców nieznanych” i Wandy Falkowskiej — „Gorgonowa — sprawa bez końca”.

Do obu tomików wydawca wprowadził trzy, godne odnotowania nowości. Pierwsza, to kolorowa, atrakcyjniejsza i bardziej „handlowa” okładka. Druga nowością jest rubryka „Czytelnicy — Reporterzy, Reporterzy — Czytelnicy”, wprowadzona na żądanie odbiorców i zapewniająca lepszą łączność między czytelnikami i wydawcą. „Gwiazda Ekspresu Reporterów” to trzecia nowość, polegająca na wprowadzeniu do każdego tomiku wywiadu z człowiekiem, który cieszy się aktualnie powszechnym zainteresowaniem. W pierwszym tomiku „Gwiazda” jest plecholoista Janusz Gerard Pyciak-Peciak, w drugim — Lech Emfazy Stępiński, psychotronic, literat i reżyser Przy okazji, pytanie do wydawcy. Czy osoba przeprowadzająca wywiad z „Gwiazdą” musi kryć się pod pseudonimem? A niby dlaczego?

Można by te prezentacje „Ekspresu reporterów” zakończyć brawami dla Krajowej Agencji Wydawniczej za pomysły, za inwencje, za nowość, gdyby nie jedno „ale”. Otóż omawiane tomiki pochodzą ze stycznia i lutego, a mamy, dzięki Bogu, lipiec. „Ekspres” z lutego oddano do druku 21 stycznia, podpisano do druku w marcu, druk ukończono w kwietniu, czytelnik mógł go kupić w końcu czerwca. Kochany Wydawco! Jeżeli ten postulat będzie trwał nadal, będziesz musiał wprowadzić czwartą nowość. Zmienić tytuł. Bo co to za „Ekspres”? To raczej połącz osobowy relacji Łódź Kaliska—Kutno!

„Ekspres reporterów”, nr 1 i 2. Krajowa Agencja Wydawnicza, Warszawa 1978, str. 178 i 182, cena zł 20.—



Rys. Grażyna Skonieczna.

JERZY KAWALEROWICZ

• NAGRODA RZEPA •

Po przerwie spowodowanej (o zgrozilo!) brakiem kandydatów przynajmniej dzisiaj ufundowaną przez nas w 4 numerze „Magazynu” NAGRODĘ RZEPA, będącą wyróżnieniem za walory polemiczne i zdrowy krytycyzm w działalności publicystycznej (dziennikarskiej, krytycznoliterackiej).

Za czerwiec nagrodę RZEPA otrzymuje dziennikarz sportowy (tak tak!) red. BOGUSŁAW KUKUC, za całokształt

trzeźwego spojrzenia na sprawy polskiego futbolu w okresie zbiłpowego szaleństwa, czyli „Mundialu - 78”, a zwłaszcza za teksty „Chłodnym okiem” i „Nie powtórzycie błędów!” („GŁOS ROBOTNICZY”).

KAPITULA NAGRODY

PS. Wręczenie nagrody odbędzie się w terminie późniejszym. Gdy zakwita bzy... Pardon, Rzepe!

Aktywność poety Jerzego M. Mielczarka nie słabnie. Ostatnio znowu przysłał nam list, z którego dowiadujemy się o jego upodobaniach poetyckich oraz politycznych. Co do tych drugich, to poeta-astronom Jerzy M. Mielczarek pisze:

„Cłociaż urodziłem się 14 lat po zakończeniu II wojny światowej, to też raczej nie chwytę (co znaczy to „raczej”? — przyp. Prezesa) kapitalistycznych i burżuazyjnych stosunków (a wiem o nich dość sporo — z ekonomii politycznej)... W dalszym ciągu listu poety dowiadujemy się, że „nie fascynuje go poe- goń za systemem jako nadrzędny cel człowieka”. „Nie jestem też za prywatną własnością środków produkcji czy uruchamianiem samego procesu produkcyjnego przez pracowników najmniejszych” — stwierdza kategorycznie J.M.

A nas po prostu cieszy, że obecnie w PSP zachęca członków Spółdzielni do refleksji nad tymi sprawami.

Sa le (tej refleksji) — niestety jeszcze — pozbawieni (a może nie jest tak źle?) Dariusz Dorożyński i Marian Miszański, którzy w liście do Zarządu przedstawiali się tak:

„Dariusz Dorożyński i Marian Miszański, urodzili się w Łodzi, w rodzinach znanych kolarzy; dzieciństwo spędzili w Łodzi w Łodzi; też spędzili młodość, tamże spędzają i starość, w Łodzi; także przepędzili wiele piodów. Szybko dojrzewali poetycko; od poezji młodromantycznej poprzez liryczną do frontadackiej, brzdziadawskiej — by wreszcie osiągnąć pełną dojrzałość piewowa.

Cechy ich poezji zaliczają sami do pierwszorzędnych. W przygotowaniu mają zamiar napisać „Ogniem i mieczem” i „oś z Londynu, nie licząc nozyl która uprawiają na polu (s móg pod Lipinami).

Z ich życia i wierszy emanuje pełne zrozumienie potrzeb, ofiarność zaangażowanie wyobcowanie, śpiewanie, knowanie burzowanie, li- losć rozgarda piewowość, emanepacja, plutokracja, awiacja, demokracja. Tyle mówią sami o sobie, reszta dopowie policja”.

Na koniec ci snani składają fale nie (sko poecl) twórcy zapewnijają nas „W przypadku, gdyby nasze przełane na papier czucia, pomysł-y i doznania znalazły zrozumienie (w co nie wątpimy) u zarządu Spółdzielni Pracy „Radosna Twó-

zość” zobowiązujemy się — i naszych czytelników — dostarczyć każda ilość utworów, równie wysokich totów, na każdy temat”, po czym autorzy ci „deklarują ochotę wstąpienia” i „zaszyła obszerne fragmenty poezji liczące na dywidende”.

Przyjmujemy panów M.M. i D.D. na członków PSP z wyjątkową radością, pierwszy to bowiem raz przydarzył się nam autentyczny, samorodny DIET POETYCKI. A oto fragment ich spontanicznej, nie pozbawionej śladów wpływu tego lub owego (a czego zgadnijcie!) twórczości Dla ustwienia zgoduj-gadulki spróbujemy nieco bliżej określić miejsce gdzie tym razem „przepędzono plody”: Klub Dziennikarza...

PREZES TE-ES

Idzie Mała, idzie Józia,
Kasper Wojtko labadzie,
Idzie Stasia idzie Jasia,
Krysia łowi węł — kurasia,
Nie wierz piosence,
wierze wszystkim ludziom tobie też
chociaż za zło uważasz zakazy moralne

Idzie Kasia, Franio psipsia,
Idzie Gienek jak olipsia,
widziałem jak synek rzeknia zia-
pał muche

Asta, asta, pede (miecenzuralne —
Prezes).

a kokoszy lęcl;
Kierowniczko na kochana
— blust i kibic i kolona,
dzwoni telefon, nie podnosze
Oj-da, oj-da — w Pabianicach
— wojna

A ten gazda idzie miedza,
komary mu d... jedza,
a gaździna idzie bruzda
ogania se (pełna dowolność) —
rózka.

D. DOROŻYŃSKI M. MISZAŃSKI

tydzień plastyki łódzkiej



HORACY SAFRIN

O ESTETYCE

Jalóweczka, co jeszcze rady starszych słucha,
zakochana szeptęła do swej krowiej matki:
„Spórz, mamusi! Ten byczek to wór pięknoducha,
zamjast trawy przeżuwa najładniejsze kwiatki!”



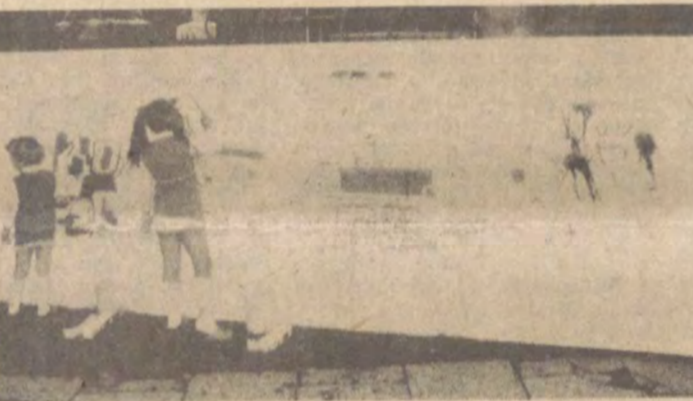
Koncertu („Niebo” z Olaszyni)...



Konkurs wiedzy o sztuce...



Pokaz kolekcji ubiorów... (n/z projektantki)



Konkurs malarski dla dzieci

FOTO:
RYSZARD LUCYSZYN

Zbigniew S. Nowak

NAJKRÓTSZA RECENZJA O!

Z CYKLU „PUDLA”

Oj, żeby nie przesolic...

Czego, jak czego, ale soli nam nie brak. To pozytywne zjawisko ma jednak wyraźnie niekorzystny wpływ na rozwój inwencji niektórych panów redaktorów. Świadczy o tym dziw-wna praktyka obdarzania tym samym nadtytułem dwóch różnych felietonów (pióra różnych autorów) na łamach dwu różnych gazet. 26 czerwca pod nagłówkiem „SZCZYPTA SOLI” felietonista „DZIENNIKA

POPULARNEGO” pyta „Z Anglii bliżej?...” (mowa o herbarcie). Inny felietonista tego samego dnia snuje na łamach „GŁOSU ROBOTNICZEGO” gorzkie rozważania o samoo-śludze... W nagłówku zaś — jeszcze jedna „SZCZYPTA SOLI”.

Wychodzą u nas książkowe serie międzywydawnicze. Czyż- byśmy się też doczekali międzygazetowej kooperacji w produkcji felietonów?

SOL (nie: SÓL)

DO MAGAZYNIERA
To ja...

To ja jestem recenzentem, który w odróżnieniu od Bogdana M. Jan-kowskiego ośmielił się być sędzią ze spektaklu „Julietta” na deskach Teatru Wielkiego wykonawcy przechodzą od śpiewu do scen mówionych w sposób zupełnie poprawny, gdy sprawozdawcy „Trybu-ny Ludu” wydali się „niematuralni, nieporadni i niezamierzenie śmiesz- ni”. Trudno wykluczyć, że ja ja miałem, a nawet, że mieliśmy obaj o- gladając np. dwa różne spektakle, a nawet różnych artystów. Z po- dobne go zestawiania cytatów nie w ogóle nie wynika, prócz faktu, że różni ludzie mogą mieć różną teatralną optykę bądź mierzyć od innego poziomu.

Zarazem, skoro już dżentelmeńsko nie zostałem wymieniony z naz- wiska, pozwalam sobie nadal pozostać w tajemniczym cieniu.

P.S. A na miesiąc znów powiadają, że w Teatrze Muzycznym przed spektaklami „Och! Luleczko” liczy się sprzedane bilety. Jest komplet — będą dwie nagłe figurantki. Nie ma kompletu — jedna. Prawie pusto — żadnej.

Osiabście sadze, że to plugawe oszczerstwa, gdyby jednak tak było, może wyjść śmiesznie. Raz jeszcze przyjdzie ktoś zobaczy dwie fi- gurantki, my się pofatygujemy zobaczymy jedną i oto prawie ma- my dowód, iż nasz gość był na bani...

M. Miszański dostaje D. Doro- żyńskiego.

„POWTÓRKA Z PLASTYKI” — 25 czerwiec GALERIA BWA

A Rosnaca — po latach „chudych” — range dorocznej wystawy okręgowej członków łódzkiego oddzia- lu ZPAP podkreślił w tym roku udział najwybitniej- szych, m. in. zas W. Gar- bolinskiego, B. Liberskiego, A. Gieragi i K. Mackiewi- cza.

A Mistrz Konstanty Mac- kiewicz wystawił swa naj- nowsza kompozycje „Pola mane palety” wykonana z „odpadów produkcji lwy- czej. Dzieło to — zadedykowane ZPAP — dowcipnie przy- pomina o codziennych bo- laczkach materiałowych pl- astyków...

A W wystawie wzięło udział 62 malarzy 12 gra- fików i 5 rzeźbiarzy. Poka- zując ogółem 120 prac. Tra- dycyjne medale przyznano: w dziale malarstwa W. Hemplowi, B. Grodek i J. Osiońskiemu, w dziale gra- fik: A. Bartczakowi i P. Cie- chelskiemu.

Z trudem już pomie- ściły się dzieła wszystkich chetnych w zbudowanej przed ponad półwieczem Galerii w Parku Sienkie- wicza. Za M. Jagoszewskim („Dziennik Popularny”) przewominamy, że od daw- na pokuty lacy w Łodzi po- stulat wybudowania nowej galerii (reprezentacyjnej) jest wciąż aktualny...

A Przyznano również podczas Tygodnia Plastyki Łódzkiej medale i wyróż- nienia ZPAP za osią- gnięcia w plastyce użytko- wej. Otrzymało je aż 15 artystów.

Niewątpliwie główna postacia plastycznego tygo- dnia była przedstawicielka młodej generacji twórczej Barbara Grodek laureatka trzech konkursów Zdobył Medal Wystawy Okręgowej Malarstwa, Grafiki i Rzeź-



by (vide wyżej). Jena 7 nagród w konkursie „Łódź- portret miasta” a także pierwsze miejsce w plebis- cycie publiczności na naj- ciekawsza prace Tygodnia (biuraca udział w wysta- wach).

A Inny młody twórca, absolwent łódzkiej PWSSP Edward Łazkowski ekspe- rymentalował w nasza ZMP budząc swoimi „obandaż- wanymi drzewami” miesza- ne uczucia wśród urzędch- niów. Niestety jeden z dy- rektorów łódzkiego Przed- siebiorstwa Ogrodniczego podał — wbrew wcześniej- szel zgodzie władz dziel- nicy — ledonosobowa decyzje zlikwidowania owego eks- perymentu, który zamist tydzień trwał wiec... jeden dzień.

Aukcja dzieł sztuki w Domu Kultury „Ely” (o- fiarowanych przez łódzkie plastyków na cele społecz- nej) przyniosła ok. 18 tys. złotych dochodu który przeznaczono na budowę Domu Zasłużonego Twórcy. Na konkursy i inne impre- zy popularyzujące sztukę wśród ludzi pracy. Włączo- no w to działanie również pokaz i sprzedaż kolekcji ubiorów projektu nielicu absolwentek PWSSP. Wy- wyższa cena na aukcji o- siągnięto dzieło Tadeusza Kokietka, sprzedane za 13 tys. zł.

Tegoroczny Tydzień Plastyki Łódzkiej był inspi- rowany hasłem „Sojusz świateł pracy z kulturą i sztuką”, a wśród głównych organizatorów znalazły się Zakłady aparatury trak- cywnej i elektrycznej „Ely” oraz LZPB im. Obrońców Pokołu.

Na 7-dniowe tournée do Włoch (trzy koncerty w Amalfi, na międzynarod- wym festiwalu muzyki i je- den w Paestum) wyjechał z trzema profesorami or- kiestra Filharmonii Łódz- kiej. Dyryguta Henryk Czyż, Zdzisław Szostak i Stefan Marczyk. Solistami sa wiolonczalista Stanisław Firlel i pianista Piotr Pale- czyn.

Wystąpił w Łodzi znany chor mekij z holenderskie- go miasta Helmond — „Hellmond Mannerkool” pod dyrektora Antonia Maessena Zespół ten istnie- lo od przeszło stu lat.

W XIX-wiecznym pałacy- ku przy al. Włókniarzy, drzez długie lata senow- nie nie wykorzystanym za- mierzła się zlokalizować motel: elegancka restaura- cja i kilka pokoi hotelo- wych.

Podczas jubileuszowej XX Wiosny Postaw, orga- nizowanej corocznie przez PAX, odbył się w Warsza- wie konkurs poetycki któ- rego triumfatorom okazał się łódzki poeta, Stefa- n Marczyk. Wyróżniony został Michał Szargan (na- grodzony I i II nagrodą) Gratulujemy.

(oprac. T.S.)